

# PRAWDA

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

### Prenumerata „Prawy”<sup>a</sup>

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, a odnośnieniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicę: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

### Adres: Sadowa Nr. 11.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i piątki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie oddaje się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Głoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism politycznych.

Sprzedżę pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

**TRESĆ:** POLITYKA: Pokój w Afryce. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: L. Andrejew: Mur, opowiadanie (dokończenie), przekł. z rosyjskiego E. Wr. — ŻYCIE SPOŁECZNE: Liśty petersburskie, p. H. Celińskiego. — „Morganizacya” świata, II, p. H. Forszetera. — BADANIA NAUKOWE: Nowe plany Bólwa wobec wspomnień historycznych, p. dr. J. B. Marchlewskiego. — Notatki naukowe. — LITERATURA I SZTUKA: Ostatnie utwory A. Dygaszńskiego, p. Wł. Bekowłofskiego. — Literatura niemiecka, p. Bertolda Matwina. — Wystawy wczoraszkie, p. Sierp. — POEZYE: Droga, p. Wacława Makowskiego. — Kioski. — Na marginesie. — Kronika. — Odpowiedzi Redakcyi. — Ogłoszenia.

Szan. Abonentom półrocznym i kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.

### POLITYKA.

#### Pokój w Afryce.

Dnia 31 maja o godz. 10 m. 15 wieczorem — jak uroczyste doniósł rządowi swemu wódz naczelny Kitchener — obie walczące strony podpisały w Veereniging umowę, która kładzie koniec wojnie, toczonej od d. 11 października 1899 r. Ze sprawozdania Balfoura dnia 2 czerwca w Izbie gmin widać, że ludzie, ze strony Boerów do umowy tej wpływający, występowali wobec Anglii jako przedstawiciele obu rządów boerskich, a nie tylko jako pełnomocnicy obozów; umowa zatem ma charakter polityczny: Boerowie, wyrzekając się wojny, wyrzekają się zarazem i własnego bytu państwowego tak w Transwalu jak w Oranii. Ze strony rządu transwaljskiego układ ten, podwójnie doniosły, zmiatający na zawsze z widowni świata dwie upaństwowione indywidualności holenderskie w Afryce, podpisali: Schalk-Burgher, Ludwik Botha, Delarey i Reitz. Za Oranię podpisy na akcie zejścia położyli: Steijn, De Wett, Olivier i Herzog. W imieniu Anglii występowali Kitchener i Milner — człowiek od pałaza i człowiek od pióra.

Umowę nazwano tylko kapitulacją; ale jest ona aktem takiego rozbioru, po którym nie zostaje już nic. Poddanie się walczących musiało unicestwić i rządzących. Całe społeczeństwo holenderskie w obu swoich rozłamach wyrzekło się własnego swego życia politycznego, aby żyć odąd angielskim. Zbrakło im wówz wszystkim tworząca własnej państwowości: nie byli narodem, byli tylko osadnikami u siebie, skupionymi w pewną całość. Gdyby po poddaniu się wojska rząd chciał dłużej istnieć i bronić praw do własnego państwa, zbrakłoby mu i materii i siły do tak trudnej a przez sam stosunek niebezpiecznej kształtującej się funkcji. Powiedziała już to sama konieczność. Ze stanowiska psychologii zbiorowej — najczynniej występującej w dziejach politycznych — stanowiska, które, oczywiście, odczuwomone raczej niż rozumem być może — samo przez się staje przed umysłem pytanie: czy powyższą prawdę konieczności potrzebował powtarzać akt umysły na dwustronny, dokonany już przez człowieka; czy spisywanie go było narzuceniem przez tę samą konieczność lub zaleceniem przez rozum; czy, stwierdzając zanik własnego państwa, zapewniono sobie te korzyści w obecnym, którychby nie uzyskano nigdy bez umyślnie umowy, przez samo tylko rozcięcie się ludzi, rozpiłnienie energii, obezwładnienie serc i ramion? Stary, dziejowy kryzys *vis tictis* rozlega się przecież nad osadami i stepami Transwalu tak samo teraz po spisaniu aktu, jakby się rozlegał bez pomocy kalamarza, po samem tylko powaleniu w walce. W położeniu takim, jak obecnego Boerów, ten kalamarz właśnie jest najniebezpieczniejszy. W żałobnym notaryacie dziejów wszelka dobrowolaść ma w sobie coś upadającego.

Korzyści, które Boerowie zapewnili sobie d. 31 maja, sprowadzają się do następujących punktów: 1) Wyzwolenie jeńców,

dostarczenie im przez Anglię środków do życia, aż do samego powrotu, i wreszcie przewiezienie ich do kraju. 2) Trzy miliony funtów sterl. na odbudowanie ferm, w postaci zasiłku z wrotnego. 3) Zastąpienie rządów wojskowych, wojennych cywilnymi, wszakże bez stałego terminu, tylko jak „najrychlej.” 4) Nietykalsność wobec sprawiedliwości wojennej angielskiej, z wyjątkiem wykroczeń przeciw zwyczajom wojny, oraz uwolnienie od podatków wojennych. 5) Przyrzeczenie zasadnicze samorządu. 6) Język holenderski, w narzeczu afrykańskiem jako przedmiot wykładany w szkołach, na żądanie rodziców. 7) Przejęcie przez Anglię wszystkich długów boerskich. 8) Nieodpowiedzialność tak majątkowa jak osobista w Transwalu i Oranii. 9) Odwrócenie t. zw. kary śmierci od powstaności Przylądka i Natalu, którzy pójdą pod sąd w myśl prawa, lub dostaną się pod komisję nadzwyczajną. W tym punkcie wszelkie otrzymane Boerowie obietnicę amnestyi koronacyjnej. Żołnierze z szeregów narodowych Przylądka na zawsze utracą prawo wyborcze czynne.

W zamian za te korzyści Boerowie w artykule I protokołu z Veereniging składają broń i dobrowolnie uznają za prawowitego swego monarchę króla Wszechanglii, Edwarda VII. Ta dobrowolaść daje państwu angielskiemu ręką spokojnego posiadania ziem niespokojnie uzyskanych. Wzmocnieniu tej ręką pracy nad odbudowaniem ferm, zagospodarowywaniem się na nowo, wzmocni wycie się napowrót w osiadłość, w jej prace i przytki zapewniające dobrobyt. Dalezsem następstwem będzie tonięcie narodowości boerskiej, której podczas wojny żaden żywioł wzmacniający z zewnątrz nie podcyci. Zadziwiająca twardość Anglii na punkcie szkół — daje wytyczną jej polityki dalszej: będzie ona Boerów kulturą angielską zajmowała, od-

rywała od przeszłości, znieczulała na własną indywidualność — wynaradawiać ich będzie. Wielkie marzenie Rhodesa o wielkim państwie kolonialnym afrykańskim zaczęło się już urzeczywistniać. Anglia wznosząc ogromnie swą siłę ekonomiczno-handlową, a przez nią i skarbową, Europa, która obojętnie patrzyła na wojnę, musi teraz i milcząco przyjąć jej skutki. Militarizm angielski będzie jednym z nich, najnieuchronniejszym, najpierwszym. Kto miał interes w niemości militarnej Anglii miał na ludzi, będzie mógł sobie powiedzieć, że interesu tego nie pojął. Radość w Londynie, radość w królu Edwardzie, w ministrach, w ludziach, w narodzie całym — łatwo zrozumieć. Nie bezmyślnie Izba gmin już d. 5 czerwca uchwałała dla Kitchenera narodowe uposażenie 50,000 f. ster. Powalenie Transwału i Oranii jest dodatnią a wielkim czynnikiem dalszego rozpowszechniania się Anglii po globie — aż do czasu.

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Dnia 5 b. m. Izba poselska sejmu pruskiego uchwałała po drugim odczytaniu rozbińniczy projekt 250 milionów. Z Niemców przećwiła mu byli tylko wolnośmiśni, lekko-wolnośmiśni (Rieckert) i środkowcy. Większość ogromna od samego początku popędziła jak stado wilków w tę stronę, z której dochodzili jęki — uciemiężonej przez Polaków narodowości niemieckiej. Przedstawiciel rządu, *alter ego* samego cesarza, kanclerz Bülow, nie zawahał się, po za sejmem wprawdzie, użyć porównania o królikach i zającach, aby cynicznie wyraził konieczność powstrzymania wzrostu Polaków. Poseł Czarliński na owem posiedzeniu dał mu odprawę niedorównyującą przecież, z powodu przepisów regulaminu, tej chłoście, na którą zasłużył. I tak jeszcze wymowny obrońca praw do życia ściągają na siebie przywołano do porządku przez niezgodnie kierującego i obradami i samym porządkiem marszałka Krüthera. Minister spraw wewnętrznych, Rheinhaben, powtórzył kłamstwo o napastniczej postawie ludności polskiej, ubolewał nad fagadnością rządów i sądów w Poznańskiem i z pod urzędowego stemla wypuścił jeszcze kilka innych sztuk fałszywej monety. Skończyło się wszystko, oczywiście, uchwaleniem milionów, a patry-

tyczny pospółch Izby był tak wielki, że już w d. 7 b. m. oba artykuły projektu przeszły przez treźne czytanie. Gdy wtedy poseł Jajzdziński zażądał głosowania imiennego, nie znalazł się w Izbie dostateczna liczba posłów do poparcia żądania. Rozwydryżona większość tłumnym okrzykiem dała wyraz swej prawodawczej mądrości.

Prowadzi swoich do ataku na ciemiężców narodów niemieckiego sam cesarz. W Malbörgu d. 6 b. m. odbywał się poświęcenie historycznego zanku krzyżackiego po odnowie, przedświetłej jeszcze na początku panowania Fryderyka Wilhelma IV, a dokonanej z taką historyczną wiarnością, że wszelkie godia, oznaki napisy, wszelkie pamiątki polskie z murów i sklepian powydzierano, aby przywrócić narodo-puską pamiątkę do stanu, jaki miała przed 28 października 1466 r. Wilhelm II, tak odnowionemu zamkowi wskazując rolę strażniczy na krosach wschodnich, jednocześnie narodo-pruskiemu kazał, „butę polską“ rzucić ją na Niemców — a ponieważ czyni to w chwili systematycznego gnębienia i przesławiania, tom samem wien już rozpalał w sercach pruskich niewiadomo do nowych pionierów podskarbi. Rozmyslnie, z jawną dla świata całego obrazą prawdy, wydane przez „skronowca pruskiej“ hasło: „Brońcie swego dobra ojezystego“ jest dla Prusaków rozkazem do zamienienia dotychczasowej walki prawodawczej, narodo-wej i społecznej w walkę rasową, z jawnym celem wytipienia tych, których się w muc wojny między latami 1772 a 1795 dostało.

Waldeck-Roussau ustąpił. Nowy gabinet jest radykalniejszym od poprzedniego. Na czele jego Combes; z ministrów dawnych: Delessac i André, sprawy zagr. i wojsko; z nowych: Vallé — sprawiedliwość, Rouvier — skarb, Chaumié — oświata, Doumergue — kolonia, Pelletan — roboty publiczne, Trouillot — handel, Mongeot — rolnictwo, Marjéjous(?) — flota. Bourgeois wybrany już stanowiąc na prezesa Izby deput. 326 głosami przy obecności 503.

Delegacye austro-węgierskie jeszcze 9 b. m. obradowały. W przedlitawskiej na warsztacie budżet wojskowy. P. Jaworski gotowość Koła do uchwalenia 38 mil. koron nadzwyczajny zaopatrzył w wymowny komentarz: Siłna Austria potrzebna jest ludom austriackim dla ich własnego rozwoju. Doświadczenie nazeżyło cenić te warunki, w których każdy może korzystać z dobrodziejstw państwa prawdziwie kulturalnego. Własny interes, do korzystania z pomysłnych warunków skłaniający, nakazuje głośować za tem zwyciężeniem, cokolwiek zmierza do utrzymania Austrii silnej. — P. Jaworskiemu czasem udaje się coś dobrego powiedzieć.

Ważny był dla Koła polskiego w Wiedniu d. 4. b. m. Poseł Grek, czując zrozumiały

wstręt do przymierza z Prusami, wniósł był rezolucyę, aby delegaci galicyjscy przy budźcie wojsku uwzględniłi sobie potrzebę zapewnienia monarchii dostatecznej zbrojeni, zastrzegając jednocześnie obowiązek takiego z niej korzystania, któreby zabezpieczyło jej-samodzielność i pozwoliło na większą niż dotychczas niezawisłość od kierownictwa przez wpływy pruskie cesarstwa niemieckiego. Po ożywionych rozprawach, w których p. Dziadoszycki przemawiał w nasez z gęstą siatką na nstach, przyjęto wniosek p. Greka z poprawką p. Jaworskiego, stawiająca na miejsce „niezawisłości — równorzędność“ a na miejsce „wpływu pruskiej i polityki niemieckiej — zupełną (dla Austrii) swobodę strzeżenia swych interesów, jako mocarstwo.“

## ZYCIE SPOŁECZNE.

### Listy Petersburskie.

Poprawa rolnictwa. — Należnicze a społeczeństwo. — Przenal ukrowiczy. — Sprawy żegluga. — Przemysł syberyjski i statystyka przemysłowa. — Jazdeczko szkolnictwa. — Reformy ustawodawcze. — Studium a Przybyszewskim. — Nowy dramat Gorkiego.

Urzędowy *Żurnal Ministerstwa Ju* rycji potwierdził w ostatnim zeszytacie gromny wzrost procentu presteptaw, niezwiązany, według tego organu, ani z przystoem ludności, ani tez z warunkami ekonomicznymi. Cokolwiek powieździeby można w tej sprawie, bez zastrzeżenia chyba odzucić trzeba komentarz *Most. Wied.*, dodający, że zwycięstwo nie wpływa bynajmniej na zniszczenie się liczebny presteptaw, że więc należy przede-wszystkiem zastrzyć środki karno-poprawcze i wychowanie religijno-moralne ludności.

Ostatnim wyrazem troski sfer rządowych o dobrobyt rolnictwa i ludu jest program opieki nad przemysłem rolnym, wypracowany przez rząd nadzwyczajną, zwołaną w tym celu na mocy Ukazu Najwyższego z d. 22 marca (4 kwietnia) r. b. Program ten zawiera cały szereg środków dużej wagi. Gdyby tylko pewna część ich weszła w życie, przyczyniłoby się to niewątpliwie do podniesienia dobroty mieszczaków. Dość wymienić takie punkty, jak rozpoważech-

L. ANDRZEJEW.

## MUR

OPOWIADANIE.

### III

Znów pelzaliśmy, ja i drugi tředowaty, i znów było gwaro dokoła, i znów w milczeniu kręciło się tych czworo, strząsając pył z odzienia i liżąc krwawe rany. Lecz myślny się zmeczyli, czuliśmy ból, i życie nam ciężyło. Towarzysz mógł usiadł, i uderzając w ziemię opuścił rękę, bełkotał szybko.

— Zabijcie nas! Zabijcie!

Nagłym ruchem porwałmy się na nogi poskokowaliśmy w tłum, lecz on rozstąpił się, i ujrzelśmy tylko jego plecy. Klaniałmy się więc plecom i prosiłmy:

— Zabijcie nas!

Lecz plecy były głuche i nieruchome, jak drugi mur. To było straszne nie wi-

dział twarzą ludzkich, tylko ich plecy, głuche i nieruchome.

Lecz oto opuścił mnie mój towarzysz. Zobaczył twarz, pierwszą twarz, taką samą jak jego, poronioną i straszna. Ale to była twarz kobiety. Więc zaczął się usmiechać, i obchodził ją dokoła, wyciągając szję i rozwiewając smród, a ona usmiechała się także zapadniętymi ustami i spuszczała oczy, pozabawione rzęs.

Pożenił się. Za chwile wszystkie twarze zwróciły się ku nim, i śmiech szeroki, głosy wstrząsanał zdrowymi ciałami: tak byli śmieszni, kiedy się do siebie umizali. Śmiałem się i ja, tředowaty, przecież to gupio żenić się, będąc bryzkiem i chorem.

— Ty głupeze — mówilem drwiąco. — Cóż ty będziesz z nią robili?

Tředowaty usmiechnął się pogardliwie i odrzekł:

— Będziemy handlować kamieniami, które spadają z muru.

— A dzieci?

— A dzieci będący zabijac.

Czyż to nie głupio: rodzic dzieci po to, żeby je zabijać? A prztem ona go wkrocze zdradzi; ma takie fałszywe oczy.

### IV

Skończyli swe zajęcie ten, który uderzał głową, i ten który tu pomagał, i kiedy przypłazem, jeden wisiął na haku, wbitym w mur, a drugi powiedział cichutko wesół piosenke.

— Idź, powiedz głodnemu — rozkazałem mu, a on usłuchał, i poszedł spijawać. I widziałem, jak głodny opuścił swój kamień. Śmiając się, padając, zaciepiając wszystkich kołocymi fokkami, to na czo-rakach, to pelżając, zbliżał się do muru, na którym kolywał się powieszony, i szcokał zębami i śmiał się radośnie, jak dziecko. Tylko kawaleczek nogi! Lecz spóźnił się, i wypredził go inni, silniejsi. Pelżając się jeden na drugiego, drapiąc się i kusając, oblegli trup powieszony i grzyli jego nogi i młaskali ze smakiem i chrupałi ogryzane kości. Nie dopuściłi go. Przyszli, patrzył, jak jedzą inni, obliwiał się parszywym językiem, a jego wielkie, puste usta wydawały jej przeciągły:

— Je - stem głod - ny!

To śmieśnie; tamten umarł za głodnego, a głodny nie dostał nawet kawaleczka nogi. I ja się śmiałem, śmiał się i drugi tředowaty, a żona jego ze śmiechem przewa-

nienie wiedzy rolniczej, zapobieganie pożarom, zaprowadzenie irygacji i obsiewanie lasów, organizacja kredytu włościankiego, drobnego i melioracyjnego, podniesienie przemysłu mlecznego, ogrodnictwa, sadownictwa i pszczelarstwa, rozpowszechnienie lepszych narzędzi i maszyn rolniczych, zmniejszenie taryfy przewozowej na handlu przemysłu rolnego, uproszczenie podatków wewnętrznego i wywozowego, rozwój drobnego przemysłu włościankiego itp.

Sprawy przemysłowe również poruszają silnie tutejszą opinię publiczną. Pewien protest w wielu umysłach budził nadmierne uprzywilejowanie niektórych gałęzi przemysłu. W ostatnim czasie np. podniosły się głosy przeciwko naliczaniu kaukaskim. Dają oni państwu tylko 27 mil. rubli rocznic dochodu (ukukownie 69,4 mil., fabryki tytoniu 43 mil.), a pomimo to cieszą się stanowiskiem uprzywilejowanym: są wolnolice od akcyzy wywozowej, co stanowi 42 mil. rocznie, i uzyskali zmniejsza taryfę na kolei Zakaukaskiej, na czym oszczędzają 9 mil., czyli razem — 51 milionów. Nie porzastając na tem, uolnolice od taryf naliczanie starają się przedewszystkiem zapędzić rynek zagranicę, przez co w wewnętrznych nieraz uczuwać się daje brak nafty i cena jej, wobec znacznego popytu, wzrasta niepomiernie (stosunek ceny nafty w Niższym Nowogrodzie i w Londynie w r. 1900 miał się jak 101,5 do 64,5), a przymtem podaż wewnętrzną nie może zaspokoić normalnych potrzeb ludności (na jednego mieszkanca Rosyi wypada przeciętnie za ledwie 15 funtów nafty rocznie, gdy w Europie zachodniej jeden człowiek zużywa na rok do 5 pudów tego produktu). Wspominane więc 51 mil. rubli idą w całości na korzyść zagranicy, no i prywatnych kieszeni pp. właścicieli kopalń, przeważnie cudzoziemców (w 1/3 częściach), którzy zgarniają do 6000 do włożonego kapitału. Trzech głównych przemysłowców naftowych na Kaukazie postanowili przymtem zawiązać syndykat w celu zupełnego opanowania rynku.

Powtarzają to sama historia, co z ukroknictwem, którego uprzywilejowanie obciąża dotąd ogół ludności. Obecnie np. ceny cukru na rynku kijowskim przewyższyły uprawnioną normę 4 rb. 50 kop. za pud, przyszedł zaś się uczuć taki brak podażi, że ministerium skarbu musiało wydać rozporządzenie wypuszczenia na rynek zapasu. Dość już pisano o tem, jak zgnubny wpływ wywiera to sztuczne normowanie cen. I stoimy beznadziejnie wobec faktu, że za

granica cukier rosyjski jest dwa razy tańszy, niż na miejscu, a księgi główne niektórych ukukowni wykazują 66; dochodu rocznic.

Dienniki tutejsze powstają gorąco przeciw takiemu stanowi rzeczy, jak również przeciw monopolowi, który przywłaszczył sobie obokrojkowcy w sprawach przemysłu i handlu. Daje się nawet odczuwać pewien ped ku zrzućeniu z siebie tego jarzma. Tak np. właściciele startków przewozowych na Wołdze wystąpili z żądaniem, aby w myśli prawa obowiązującego zabroniono obcyim poddanyim prawu żegluzi na tej rzecie; naliczając bowiem kaukazej urządziłi sobie cała flotę, na której przewożą swy nafę, pozabijając zarobku ludność miejscową. Ale dzieje się to nie tylko na Wołdze. Cudzoziemcy ujązmiłi całą niemal żegluzę na wszystkich morzach rosyjskich: osobna komisya, która obraduje obecnie w Kercuzu nad sposobami uolnienia się od tej nieproszonej opieki, obliczyła, że w r. 1898 w rękach obcych spoczywało 83,9% handlu morskiego, w 1899 — 85,5%, w niektórych zaś przystaniach morza Czarnego aż 90%.

Z przeprowadzeniem drogi Syberyjskiej, przed handlem i przemysłem rosyjskim otwierają się nowe, rozległe widnokręgi, wobec bogactw nieprzebranych, w jakie obfituje ten kraj, ręką lutską niekietniq; tymczasem jednak bojaźń i niezaradność powstrzymują kapitalistów od rozwinięcia szerokiej działalności na tym dziewiczym terenie. Zorganizowano np. przedsiębiorstwo wywozu rudy miedzianej do Niemiec, i produkt ten wedruje tysiące wiorst, jak gdyby nie można było przetapic go na miejscu. Ta sama niedź wraca potem w towarach, obciążona elem i opłatą za przewożenie podwojny.

Leż już i teraz na Syberyi powstają i szybko rosna różne gałęzie przemysłu; pomyślnie zwłaszcza rozwija się przemysł mleczarski, który w r. 1901 wytworzył 1,860,000 pudów masła na wywóz, gdy cała Rosya europejska w tym samym czasie zdołała się za ledwie na 600,000 pudów.

Cenne i ciekawe dane o rozwoju przemysłu znajdujemy w urzędowym wydawnictwie ministerium skarbu, dotyczącem statystyki przemysłowej, a opartem na sprawozdaniach inspektorów fabrycznych. (Yfry, tu podane, dotyczą roku 1900, gdy ogółem zakładów przemysłowych, podległych nalzorowaniu inspektorowskiemu, było w Rosyi 17,977; zatrudniały one 1,606,177 robotników. Według ilości robotników, zakłady te dzieliły się na następujące grupy:

	r. 1900	r. 1877
mniej niż 15	5,434	8,778
16 — 50	7,072	6,195
51 — 100	2,597	1,961
101 — 500	2,326	1,812
501 — 1000	410	352
ponad 1000	288	194

Tablica ta wykazuje nam dwa fakty charakterystyczne: 1) przewagę przemysłu średniego (od 16—500 ludzi) w dotychczasowym rozwoju ekonomicznym Rosyi; 2) szybki upadek przemysłu drobnego (mniej 15 robotników); od r. 1897 bowiem ilość tych zakładów zmniejszyła się o 38,8%.

Sprawy szkolnictwa nie przestają zajmować opinii miejscowej, która wciąż jeszcze rozważa i bada, czy i jakie reformy są potrzebne i pożądane. Niezawas przymtem wypowiadane bywają uwagi trafne. Tak np. *St. Pet. Wiadomości* w jednym z ostatnich numerów wygłaszają zdanie, że szkoła średnia jednego typu jest niepotrzebna, nawet szkodliwa; bo czy byłoby słusznem i pożytecznem, aby przyszły inżynier miał w gimnazjum tyleż godzin tygodniowo matematyki i przyrodznictwa, co i przyszły adwokat? Z kolei zapytany można, po czem to w pierwszo lud drugoklasistom można już poznać przyszłego inżyniera lub prawnika i czy taka specjalizacya wykształcenia średniego od lat najmłodszych nie zwężyłaby jego widnokręgu i nie wyrobiłaby w młodocianych umysłach zbyt alytarnego poglądu na świat i ludzi?

Spotykamy również objawy pewnego zająęcia się sprawą oświaty ludu: w Kursku organizuje się pierwsza w Rosyi wystawa szkolnictwa ludowego; jednocześnie 24 opiekuńców i opiekuńców szkół początkowych w Moskwie podają „dumie” projekt zjazdu nauczycieli i nauczycielek szkół wiejskich, który ma się odbyć wiosną 1903 roku. Ludzie, szczerze tej sprawie oddani, spodziewają się nawet pomyślnych i owocnych wyników zjazdu.

Godzi się wreszcie zaznaczyć kilka błogich zamierzeń i projektów w zakresie rozpatrywanej obecnie reformy prawodawstwa. W *Zurn. Min. Just.* p. J. G. Szczegłow, zwracając uwagę na ospalność procedury, skutkiem czego ten, kto został skazany na kilka miesięcy więzienia, nieraz przed wyrokiem przesiadził pod kluczem rok i więcej, proponuje słusznie, aby odliczono od kary cały ten czas, przez który podany pozostał w areszcie pod śledztwem; ktoś inny rzucza myśl humanitarną, by oskarżonemu dodawano obrotów już podczas śledztwa pierwiastkowego; wreszcie —

cała woda fałszywie oczy: przymroźcie ich nie mogła, bo nie miała rzęć.

A on wy! wciąż coraz wścieklej i głośniej: — Je — stem god — ny!

Głos jego przelot był chrapliwym, wzniósł się w górę i metalicznym dźwiękiem czystym i przenikliwym uderzył o mur, a odbiwszy się od niego, leciał nad ciemnymi przepaściami i siwymi szczytami gór.

Wkrótce zawyli wszyscy, którzy byli pod murem, a było ich tak dużo, jak szaranczy, i byli zarówno i głodni, jak szarancza. Zdawało się, że nawet rozpalona ziemia zawyla w mękach nieznosnych, rozwarły szeroko kamienych paszecz. Podobne lasowy drzew suchych, pochylonych w jedną stronę przez wiatr huczący, podnosiły się i wyciągały ku ścianie kurezowo wyprostowane ręce, suche, biedne, błagalne, i było w nich tyle rozpacz, że wdzygwały się kamienie, i z trwoga uciekały szare i sine chmury. Leż mur był nieruchomy i wysoki, i odbijał objętnie jęk, przeknikający gęste, smrodliwe powietrze.

I wszystkie oczy zwróciły się w stronę muru, i wlewały z siebie ogniste strumienie. Wierzyli i oczekali, że mur zaraz padnie i ukaze nowy świat, i w zaślepieniu

wiary widzieli już, jak chwieją się kamienie, jak dęga od postaw do szeptu żują kamienna, wykarmiona krewią i mózgiem ludzkim. Być może, że drżeli też w naszych oczach, a myśmy myśleli, że to mur, i jęk nasz stał się jeszcze bardziej przenikliwy.

Dźwięczał w nim gniew i radość blizkiego zwycięstwa.

## V

Oto co stało się wtedy. Wysoko na kamieniu stanęła stara, chuda kobieta z zapadniętymi, suchymi policzkami, z długimi, rozczarganymi włosami, podobnymi do siwej szczenińca starozga, zgłodniałego wilka. O — dzieć jej była poszarpana, i obnażła żółte, kosiście plecy i suchą, obwisłą pierś, która dała życie wielu i była wyniszczona przez macierzyństwo. Kobieta wyciągnęła rękę do muru, i wszystkie oczy położyły za nią; przemówiła, i w głosie jej było tyle męki, że ucieli wstaływście rozpaczliwy jęk głodnic.

— Oddaj mi dziecko! mówiła.

I wszyscyśmy milczeli i usiuchali się z wściekłością, i czekali, co mur odpowie. Na murze występował krwawo-szary plamą mózg tego, którego ta kobieta nazwała dzie-

ckiem, a myśmy oczekali niecierpliwie, groźnie, co odpowie podły morderca. I było tak cicho, że słyszeliśmy szmer chmur, ciągnących nad naszymi głowami, i nawet nocy czarna zamknęła jąki w swej pierś, tylko z lekkim świstem wypływała palący drobny płasek, który gryzł nasze rany. I znów zdążyłwziewać surowe i gorzocy pełne żądanie:

— Okrutny, oddaj mi dziecko!

Uśmiechy nasze stawały się coraz groźniejszymi i wściekłojszymi, lecz podły mur milczał. Wtedy z posród milczącego tłumu wystąpił piękny i poważny starzec i stanął obok kobiety.

— Odtąd mi synal — powiedział.

Było tak strasznie i tak wesolo! Płey moje zmarszczyły się od zimna, muskafy kurezylly się od przypływu nieznannej i groźnej siły, a mój towarzyszy szturchał nie w bok, szczechąc zębami, i śurodliwy oddech wychodził z gnijących ust jego szereka, cuchnąca fala.

Z tłumu wyszedł jeszcze jeden człowiek i powiedział:

— Oddaj mi brata!

I jeszcze jeden wyszedł i powiedział:

— Oddaj mi córkę!

I zaczęli wychodzić mężczyźni i kobiety,



jak donosi *Sudobnaja Gaz.*—istnieje projekt równoprawnienia małżonków i zniesienia dotychczasowej niższości kobiety w prawodawstwie cywilnem.

Ze spraw literackich zwraca uwagę studjum p. E. Degena o Stanisławie Przybyszewskim, pomieszczone niedawno w *Russk. Bugnicer*. Krytyk rosyjski sądzi autora „Na drogach duszy“ surowo, ale bezstronnie. Nieobcy jest p. Degenowi współczesny nasz ruch literacki, bierze on pod uwagę łó społeczno-polityczne i wypowiada kilka trafnych uwag, jak np., że Przybyszewski w dramatach swoich „Dla sześciu“ i „Złote runo“ zwrócił się ku moralności mieszczańskiej—filisterskiej, że najpiękniejsze karty jego utworów są te, na których opisuje lud swój i ziemię rodzinną.

Ostatni dramat Makyma Gorkiego p. t. „Mieszczanie“ wystawiony tuż przed miesiącem, jest dotychczas jeszcze przedmiotem żywego zajęcia. Nowy utwór głośnego pisarza ówemu został na przeciwstawieniu dwu światów: zapełnjej, dusznej atmosfery rodzinno-mieszczańskiej i nowych ludzi: studentów, nauczycieli ludowych, artystów z Bożej łaski, dzielnych, młodzieńczych, pełnych życia, energii i zapалу. Krytyka tujejsza, oddając wielkie pochwały autorowi, stawia tylko pewne zarzuty literackie: papierowość typów dodatnich i brak sceniczności.

*Niżegorodskij Listok* opowiada następującą anegdotę, świadcząca o szerokiej popularności nowelisty rosyjskiego.

Pewnego dnia do jednego ze sklepów w Rostowie nad Donem wtacza się jakiś obdartus, prosząc o jałmużnę.

— Idź do dyabła! — woła właściciel sklepu — czego chcesz... włożyć się to...

— Do dyabła! O-o-o! Widzicie go! O nas Gorkij pisze! A o tobie, taki synu, kto co napisać!..

H. Celiński.

## „MORGANIZACYA“ ŚWIATA.

### II.

Między sam najazd amerykański był niespodzianką dla Anglii, ile nagłość, z jaką zakoeżył on karykaturalnie zarozumiałego syna Albionu. Zwłaszcza zamach na flotę handlową został wykonany po mistrzowsku. Z początku ukazywały się w prasie angielskiej żale biobowe,

opłakujące stagnacyę w dziedzinie żeglugs morskiej i zabójcę współzawodnictwo dla niej w tych tak ciężkich czasach. Po kilku tygodniach wolano już: „hosanna!“ Amerykanie przystali na umowę w sprawie frachtów morskich, i ani im się śniło żądać zdjęcia flagi angielskiej ze statków brytańskich. O jakimś więc monopole amerykańskim mowy być nie może. Następnie wyplęta niewiadomo skąd pogłoska, że Amerykanie przywłaszczyli sobie większość akceji żeglugsowych po porozumieniu się z francuską „Compagnie générale transatlantique“ i linią holendersko-amerykańską. Nareszcie nadeszły trzymano w tonie pewnym telegramy z Ameryki, iż kongres zajmie się pytaniem, czy można w istocie, wbrew świątym przepisom konstytucyi amerykańskiej, pozwolić „obeym“ okrętom kursować pod gwiazdzą flagi Stanów Zjednoczonych.

Teraz dopiero wybuchł poptoch, a sprawa oparla się o parlament. Postawiono wprost rzadowi pytanie: czy owa słynna, roznosząca po całym świecie chwałę angielska flota handlowa Wielkiej Brytanii istnieje jeszcze? Przedstawiciel admirałci odpowiedział, że na razie nie może dać stanowczego wyjaśnienia. Rzeczywiście, cóż mógł biedaczko odpowiedzieć? Czyż utrata floty nie jest uweratą do przedawania bardziej dramatycznej? Monopol amerykański na Oceanie oznacza przecież wstęp do akceji rozległej, której rozmiarów nie sposób przewidzieć. Zaprzeczyć zaś wszystkiemu i dać odprawę Amerykanom — to znaczy uzbrcić przeciwko sobie przyszłych portowia, mających nad Europą *jus viuae et mortis*. A co gorsze, linie statków, o czem zresztą napomykano już ziccha, gotowe zerwać kontrakty, zawarty z Ameryką pod warunkiem, że rząd angielski udzieli im zapomogi. A tymczasem w szkatule rządowej pustki od czasu wojny transwalskiej.

Pograżona w nieutulonym żalu Anglia znalazła na szczęście pociechę. „Morganizacya“ floty handlowej powtórzyła się w drugim wydaniu w niewąstnych Niemczech. I tu powstała szalona panika na wieść, iż akceje dwu największych linii atlantyckich przechodzą stopniowo do rąk amerykańskiego trustu żeglarskiego. Przy dworze wstąpiło naradę. W kilka tygodni później książę Henryk mknął do Ameryki, aby przywitać ją słowami: *morituri nos salutauit*, a na uczcie, wydanej przy miłarderów, pód zicwicie, kapitanów przemysłu (captains of industry). Tymczasem w Niemczech zachęciano żeglugs hamburskich,

aby „się nie dawali“ Amerykanom, ale było już zapóźno. Wprawdzie nie dali się przekupić i kupić w tak haniebny sposób, jak dumni Angliacy, a linie hamburskie zachowały pozornie swą niezależność, ale pierwszy krok do utraty autonomii został zrobiony. Amerykanie i Niemcy będą od-tąd kroczyli ręką w rękę w walce przeciwko „outsiderom“ (współzawodnikom niezależnym do trustu), będą zgodnie wykregali srbę taryfową i dzielili się dywidendami. Nie wiadomo, jak Niemcy zachowają się w razie, gdyby Amerykanie ułożyli taryfę swą w sposób skrzydłowy dla wywozu i przywozu europejskiego? Jest to sprawa pierwszorzędnej wagi dla większej części świata, gdyż znajomości osoby Morgana wystarcza, aby zrozumieć, iż trust żeglarski nie ma na celu dywidendy dla siebie przez się, ale że wytknął on sobie wielkie plany światoborcze i zaszcze.

Niemcy nie ochnęły jeszcze z pierwszej paniki, gdyż rozszala się okropna pogłoska, iż Morgan sam zawiał do Berlina. Wiadomości ta sprawdziła się; na szczęście jednak był to inny Morgan— „Morgan II.“ Ale i ten mały korsarz ubdł ambicyę Niemców i zadał ciężką ranę ich organizmowi ekonomicznemu.

Przemysł potasowy należy do tych niezliczonych gałęzi wytwórczości niemieckiej, które dyktują światu ceny monopolowe. Trytania ta dała się również we znał. Amerycy, która bolało to zwłaszcza, że syndykat niemiecki obypuje ulgami rolnictwo krajowe. Wśród odbiorców amerykańskich pierwsze miejsce zajmował trust nawozowy (Chemical Virginia Company), pochłaniający 40% zbytu niemieckiego. Z wybuchem kryzysu przemysłowego w Europie „Morgan Mały“ zaczął za przykładem swego wielkiego kolegi nacierać na Niemców w roli kierownika wspomnianego trustu nawozowego. Podobnie jak Morgan I zaczął on skupować chwycjące się w kursie akceje, aby rzucić je później, niż miecz żelazny Brennusa, na wagę rowokau „pokojowych“; Morgan II zaczął rabatu, a otrzymawszy odmowę, przybył *re* własnej osobie do Niemiec i nabył na swój rachunek dwie wielkie kopalnie potasowe. Pokazał tedy Niemcom, że można ich tak samo kupić, jak się kupuje Anglików. Następnie poluźnił sobie nieco chętną zależność, w które wprzegli go Niemcy, osłabił potęgę syndykatu potasowego i trzyma go od-tąd w ciągłym postrachu.

Tyle o forpaczach amerykańskich. Musimy teraz zastanowić się szczegółowiej nad widokami walki ekonomicznej Eu-

starzy i młodzi, wyciągali ręce, i nieubłaganie dźwięczało im gorzkie żądanie:

— Oddaj mi dziecko!

Wtedy i ja, trędotawy, poczułem w sobie siłę i śmiałość i, wyszedłszy naprzód, krzyknąłem głośno i groźnie:

— Mordero! Oddaj mi mnie samego!

A on — on milczał. Podły i kłamiwy, udawał, że nie słyszy, i śmiech, pełen złości, zatrząsł moimi poronianymi policzkami, i wściekłość bezrozumna napelniła nasze ciępiące serca. A on wciąż milczał, głucho i obojętnie, i wtedy kobieta zatrząsa gniewnie swemi suchymi, złotemi rękami i krzyknęła nieubłaganie:

— Wjęć bądź przekłęty, ty, cóś zabił moje dziecko!

Piękny, poważny starzec powtórzył:

— Bądź przekłęty!

I dźwięcznym tysięcznym jękiem powtórzyła cała ziemia:

— Bądź przekłęty! Przekłęty! Przekłęty!

### VI

I westchnęła głęboko noc czarna i, niby morze, porwane przez huragan i rzucane całą swoją ciężką, bucząca masą na skały,

zakolysał się cały świat widomy i uderzył o mur tysiącem wyprężonych i wściekłych piersi. Wysoko, aż pod same, ciężko pisaną, szerszące się chmury, byzyczna krawa pisaną i zaozerwiona je, i stały się one ogniste i straszne, i rzucały odbłask czerwony na dół, tam gdzie hucało, i wyło cóś drobne, i wściekłego. Odplynęło ono z gasnącym jękiem, pełnym niewypowiedzianego bólu, a mur stał nieporuszony i milczał. Żył milczał nie wstydliwie i nieśmiało, ponure i groźnie spokojne było spojrenie jego nieforemnych oczu, i dumnie, jak król, spuszczał z ramion purpurowy płaszcz szybko spływające krwi, a koniec płaszcza ginęły wśród zsuszeonych trupów.

Leż umierające co chwila, byliśmy nieśmiertelni, jak bogowie. I znów zawiął potężny potok ciał ludzkich i całą swoją siłą uderzył o ścianę. I znów odpłynął, i tak wiele, wiele razy, dopóki nie przyszło wyczerpanie, i martwy sen, i cisza. A ja, trędotawy, byłem przy samym murze i widziałem, że chwiać się zaczyna on, król dumny, i że strach upadku przebiega dreszczem po jego kamieniach.

— On pada! — krzyknąłem. — Bracia! on pada!

— Mylisz się, trędotawy — odpowiedzieli mi towarzysze.

— Wtedy zaczęłem ich prosić:

— Niechże on stoi, lecz ożyj trup każdy nie jest szczebłem do szczytu? Jest nas dużo, i życie nasze ciężkie. Uścielmy ziemię trupami, na trupy rzucimy nowe trupy i tak dojdziemy do szczytu. I jeżeli choć jeden zostanie — to on zobaczy świat nowy!

I obejrzałem się z wesołą nadzieją i zobaczyłem tylko plecy, obojętne, tułste, zmęczone. Tych czworo kregło się w taneu, zbliżali się i oddalali, i noc czarna wypławała mokry piasek, jak chora, a mur stał masą niezłomną.

— Bracia! — prosiłem — Bracia!

Leż głos mój był nosowy, a oddech smrodliwy, i nikt nie chciał słuchać mnie, trędotawego.

Biada, biada, biada!

Przeł. z rosyjskiego E. Wr.

ropy z Ameryką. Panowie przedsiębiorcy zapracują się bardzo pesymistycznie w położeniu Europy. Zwłaszcza wprowadza ich w rozpacz europejski szeregowiec pracy. Robotnik europejski — twierdzą — pobiera płacę za wysoko. Wskutek tego opływa w dostatek, kiedy przemysł wiąże zaledwie koniec z końcem i nie może wytrzymać współzawodnictwa z Ameryką. Otóż cały ten akt oskarżenia, skierowany przeciwko robotnikowi europejskiemu, okazuje się wierutnem kłamstwem. Amerykański minister pracy, t. zw. Commissioner of labour, Carroll D. Wright, ogłosił w roku przeszłym opartą na badaniach źródłowych dwutomową pracę o stanie i ruchu placu roboczych w głównych krajach przemysłowego świata. Z badań tych, uporządkowanych sumiennie i opracowanych podług nowoczesnych metod naukowych, wypływa najwyraźniej, iż zarobek najmięki wszelkich gałęzi przemysłowych stoi w Ameryce na wysokości dotychczas niedosięgniętej. Niechaj tu wystarczy jeden przykład. Mularz pensylwanski pobiera przy tygodniowej pracy, trwającej 48 godzin, 4 dolary dziennie; angielski jego kolega pracuje 53 godziny tygodniowo i otrzymuje dziennie 1,4 dol.; francuski — 1,64; niemiecki, pomimo 60-godzinnej pracy, dostaje tylko 0,60—1,19 dol.; włoski — 0,60—0,70 dol. przy 66 godzinach pracy itd. To samo potwarza się z niewielkimi zmianami we wszystkich gałęziach przemysłu. Wprawdzie koszty utrzymania są w Ameryce bezporównania większe, niż w Europie. Lecz pomimo tej różnicy, t. zw. realna placarobocza Europy pozostaje w tyle za amerykańską. Opierając się na badaniach niedawno zmarłego statystyka Mulhalla, Wright obliczył, iż wyrobnik amerykański wydaje na swe pożywienie tylko 33% swego zarobku, angielski musi wyznaczyć na ten cel 45%, a robotnik z łądu europejskiego — 55%. Jeśli do tego dodamy mieszkanie, ubranie, oświetlenie, opał i podatki, to okaże się, iż na pokrycie tych niezbędnych wydatków wyrobnik amerykański musi pracować 225 dni na rok, francuski 231, niemiecki 240, rosyjski 286, a włoski 290. Przytoczone cyfry mówią odróżni, jaka głęboka różnica zachodzi między armiami roboczymi, prowadzonymi do boju przez Europę a Amerykę. Przedewszystkiem wiemy z ekonomii politycznej, że wysokość płacy roboczej pozostaje — oczywiście do pewnej wysokości — w prostym stosunku do wydajności pracy. Wysokie zarobki wychodzą zatem na korzyść Ameryce. Warunki, w których żyje pracownik amerykański, sprzyjają jego rozwojowi umysłowemu i kulturalnemu. Inteligencja zaś armii roboczej umożliwiła udoskonalenie trybu technicznego i organizacji przemysłu. Rzeczywiście, wszystko przemawia za tem, iż w razie gdyby doszło do prawdziwej wojny przemysłowej między Europą a Ameryką, ta ostatnia musi odnieść zwycięstwo dzięki wspaniałej technice i organizacji swej wytwórczości.

Do takich właśnie smutnych wniosków dochodził ekonomista Tomasz Lenschau, który na widok dymiącego się wulkanu amerykańskiego, zajął się kwestyą „niebezpieczeństwa amerykańskiego“ i ogłosił przed miesiącem wyniki swych badań. W chwili obecnej — wywodzi on — Europa nie ma jeszcze powodu obawiać się swego zaatlantycznego współzawodnika. Zamorskie pole zbytu jest tak rozległe, iż starczy go jeszcze na jakiś czas. Ale z chwila, gdy za oceanem nastąpi kryzys, Amerykancie uruchomiona swa siła bojowa i wyruszą, gdyż muszą wyruszyć, do Europy. A wtedy błąd nam! Pod dwoma względami bowiem Europa nie dorównywa Ameryce. Organizacja przemysłu tamtejszego doprowadziła koncentrację produkcji do szczytu doskonałości. Trusty stalowe i żelazne — a o nie chodzi przedewszystkiem — posiadają wla-

sne kopalnie, okręty, koleje żelazne, koksownie, piece, walcownie itd. Taki trust lub towarzystwo akcyjne, idąc za radą starożytnego Katona, kupuje jak najwięcej, wytwarzając wszystko we własnym swem „gospodarstwie“, a sprzedaje jak najtańcej. To zesrodkowanie w jednym punkcie wszystkich procedur, których wymaga towar od swych narodzin aż do wyjścia w świat w pogoni za klientelą, prowadzi do znacznego bardzo zmniejszenia kosztów produkcji. W Europie, jak widzieliśmy, syndykaty usiłują wzajemnie siebie wyścisnąć. Syndykat węglowy ciosa kolki na głowach wytwórców surowca, aż za nakładają haracz na zakłady stalowe itd. W Ameryce trusty stanowią jedną duszę i jedno ciało, a to wskutek tego, iż pokrewne sobie i wzajemnie się uzupełniające zlewają się w jeden organizm. Tak np. losy wywozu żelaznego zależą właściwie, pomimo niskich kosztów produkcji, od taryfy przewozowej, czyli innymi słowy Morgan i Carnegie są zależni tylko od siebie, od własnej inicjatywy i własnego sprytu. Tu przyjdzie im z pomocą jedyna w swoim rodzaju organizacja przemysłu amerykańskiego.

Oczywiście okoliczność ta pozostaje w ścisłym, jakkolwiek niezawasze stałym, związku z poziomem techniki. W tego rodzaju konglomeratach przemysłowych, wzorowo scentralizowanych i stanowiących zamknięty w sobie organizm, otwiera się większe pole dla wprowadzania wynalazków i udoskonalen. Ale niezależnie od tego Ameryka usiłuje przescięgnąć wszystkie kraje europejskie, nie wyłączając Niemiec, pod względem postępu technicznego. Tem należy sobie wytłumaczyć wzrastający nieustannie dowóz amerykańskich maszyn składowych i lepszych towarów żelaznych i stalowych, jak lokomobile, maszyny t. d. W eniach tych artykułów koszty materiału surowego odgrywają rolę podrzędną. Taniociś ich jest skutkiem wyższości technicznej Amerykanów. Dzięki temu, zaczynają sobie torować drogę do Europy nawet takie wyroby amerykańskie, dla których yankei mają surowy materiał droższy od naszego. Mamy tu na myśli obuwie. Że Europa ma skórze tańsze i lepsze od Ameryki, nie ulega wątpliwości. Wszak Ameryka sama sprawdza je od nas. Dalej: placarobocza w amerykańskich fabrykach obuwia jest co najmniej w trójnasób wyższa, niż w Europie, a jednak współzawodnictwo amerykańskie i w tej gałęzi daje się już we znaki Europie. Zarządza ona to powodzenie wytwórczym przemysłem maszynom „szewskim“ najnowszymi konstrukcjami. Z wyrugowaniem aż do granic ostatecznej pracy ręcznej jest ona w stanie przy pomocy 300—500 robotników wyprodukować dziennie 1,500—3,000 par kamazy i butów. Nie dziwnego, iż przy takiej wydajności może płacić robotnikowi tygodniowo 30 rubli i wychodzi na tem dobrane.

Zesrodkowanie produkcji, wyszkanie techniki maszynowej i rozgałęziony podział pracy — oto naogół źródło powodzenia amerykańskiego. To też ani wysokie cla, ani unie obronne nie odeprą najazdu zamorskiego. Protekcyjizm, który jest zawsze tylko chwilowym środkiem ochronnym, bezsilnym wobec ciągłego rozwoju techniki, może w dodatku osłabić odporność Europy, otaczając przemysł atmosferą cieplarnianą i naspiając czujność zagrożonych zakładów. Wysokie cla tamują nadto rozwój fabrykacji, posługującej się oclonymi nadmiernie środkami pomocniczymi. Tymczasem Europa ma już dziś w zarodku te same organizaty przemysłowe, co Ameryka. Charakterystyka karteli wydattiła nam te same dane, które dziś stanowią chlubę i siłę trustów. Według Lenschau, nie pozostaje Europie nic innego, jak kroczyć drogą wytkniętą przez rozwój. Urato-

wać może ją tylko ulepszona organizacja przemysłu i udoskonalona technika wytwórczości.

H. Forszelet.



## NOWE PLANY BŹŁOWA

WOBEC WSPOMNIENI HISTORYCZNYCH.

Zapędy tępienia polskości doprowadziły, jak wiadomo, w Prusach do królewskiego zamachu: 250 milionów żądał pan Błowa na walkę z żywiołem polskim i dla obrony uwięzionej niemieczyny. Z tej ewierci miliarda — 150 milionów przeznaczona na dalsze prowadzenie dzieła komisji kolonizacyjnej; a za 100 milionów rząd ma zakupić dobra ziemskie, w celu pomnożenia własności państwowej. Działalność komisji kolonizacyjnej poddamy niebawem krytyce. Dziś zaś chodzi nam tylko o parę wspomnień historycznych, jakie mimowolnie budzić musi genialny plan p. Błowa.

Prezydent ministrów ubolewa, że państwo posiada za mało ziemi w Księstwie Poznańskiem, i że ziemi się w dziedziennickim właścicielom ziemskim w tej prowincyi. Chee zatem z groszy, których zapłaciła ludność opodatkowana, a więc ludność polska, wydać 100 milionów; chee utworzyć dominia rozległe i osadzić na nich, jako dzierżawców lub administratorów Niemców, o ile się da — dotychczasowych właścicieli dóbr zakupionych. Wobec tego budzi się, rzecz oczywista, pytanie: co też stało się z dobrami państwowymi, które rząd pruski miał niegdyś w tej dziedziennicy? A także: skąd się wzięli ci niemiecy posiadacze dóbr w W. Ks. Poznańskiem, których salwować chee kancelarz. Jak wiadomo, były w dawnej Rzeczypospolitej dobra koronne, „królewskiezczy“. Były to starostwa, z których czasami więc posiadacze placili „kwartę“ do skarbu i „stolowę“ na utrzymanie dworu. Te więc dobra na obszarze dzisiejszego Księstwa przesyły na własność państwa pruskiego. Co się z niemi stało?

Po roku 1776 Fryderyk II prowadził w kraju zabranym gospodarstwo wzorowe, laską kapralską napędzając do porządku swych junkrów. W „okręgu Noteci“, który później wszedł w skład dzisiejszej prowincyi poznańskiej, założył Fryderyk dwa dziesięcia urzędów dominialnych; obszar dóbr państwowych obejmował 7,000 włók; na ziemi tej urzędy osadzały włościan-kolonistów; zagospodarowano ją jakoż nacemle.

Inaczej było po r. 1794, za rządów Fryderyka Wilhelma II. Wtedy w Wielkopolsce, z której utworzono „Prusy południowe“, dawne królewskiezczy, również jak i dobra pokonfiskowane, zostały wprost rozgrabione. W maju 1796 roku podeskarbi Rietz, małżonek późniejszy hrabiny Lichtenau, wyłudził od króla, w uznaniu wielkich zasług, 2 tysiące talarów pensyi rocznej; suma ta została mu przekazana na dawnych dobrach stolowych — Nowy Dwór. W sierpniu tegoż roku różni offerowcy wyłudzałi darowizny: rozdzielano pomiędzy nich dobra państwowe; boleśnsm jest widzieć między tymi panami także Blüchera — pisze Meyer (*Geschichte Posen*, str. 193). Wnet później utworzyły się formalne konsorcjum celem grabieży dóbr ziemskich. Na czele stali: Hoym, minister zarządzający prowincyą i jego protektor w Berlinie, kanclerz von Geldenbeck, oraz faworyt królewski i pośrednik w różnych sprawach natury prywatnej, Hirscholwerder; duszą całego przedsięwzię-



cia był niejaki Triebenfeld, kreatura Hoyna, który mu nadal szlachectwo pruskie i wyrobił różne tytuły. Prócz tego odegrał tu rolę wspomniany już Rietz i jakis przybyły z Danii hrabia Lütichau, jedna z najbrudniejszych figur dworu berlińskiego. Zwykle rzecz odbywała się tak: Amator ziemi polskiej zgłaszał się do Triebenfelda, który polecał swego klienta Hoymowi, ten zaś — „lascie monarszej” — a Rietz lub Bischofswerder dokładali starań, aby król podpisał donacyę; odbarowany brał wtedy dobra albo darmo zupełnie, albo też za niewielką opłatą, zwaną *Erbchaftsgeld*. „Postaraj się pan tyko, aby panu wyznaczone dużo dobr, a zarobiny na tem miliony” — pisał np. Triebenfeld do hr. Lütichau (Meyer *ibid*).

Wszystkie te machinacje opisał jeden z urzędników pruskich, Hans Ludwig von Held<sup>\*)</sup>, w książce p. t. *Die wahren Jakobiner in preussischen Stände, oder altentwässerte Darstellung der bösen Bänke und betrügerischen Dienstführung zweier preussischer Minister*, znaney lepiej pod tytułem *Das schwarze Buch*.

Prócz tego ogłoszono w czasopiśmie *Neue Feuerbrände* (1807, zeszyt II, str. 65 i nast.) spis majątków zagrabionych, pochodzący od Helda, p. t. *Das schwarze Register oder general Tableau sämtlicher in Süd Preussen während der Minister von Hoym diese Provinz verfallter lat in den Jahren 1794 bis 1798 als Gratialgüter verschenkter, ehemaligen polnischen Kron- und geistlichen Güter*. Z tego więc rejestru, dla scharakteryzowania gospodarki pruskiej, czynimy wypisy następujące:

Najpierw hersztowski:

Hoym oczywiście nie zapomniał o sobie; wziął on 13 majątków w ziemi Sochaczewskiej, które oceniono na 7,000 talarów; sam w urzędzie, zwanym *Chargen Casse*, podał ich wartość na 6,000 t. i od tej sumy opłacił darowiznę. Sprzedał te majątki rodzinie Lubniskich (Lubienskich?) i otrzymał niewiadomą sumę pieniężną oraz kłacz Syrdnicki pod Kaliszem; te ostatnią majątność sprzedał potem za 198,000 talarów. Held powiada: „Nietylko zatem oszukał monarchę na wartości tych dóbr, lecz także oszukał kasę. Zły to przykład ze strony ministra, który miał strzedz uczciwości i porządku i doglądać kas państwowych.” Meyer (*ibid*) dodaje: Na krótko przed tą darowizną pisał do króla: „Obiegają wieści, jakoby jamy w nową polskąję prowincję dobra ziemskie. Wobec zadani, jakie raczyłeś, Najjaśniejszy Panie, powierzyć mi przy urządzaniu tych prowincji, byłoby to przeciwne mym obowiązkom i zaprzytomom.”

Bischofswerder otrzymał w darze 4 majątki, których wartość podano na 18,000 talarów. Sprzedał je hr. Lütichau, a więc jednemu ze współników grabieży, za 125 tysięcy talarów, co na pewno nie wyczerpywało rzeczywistej wartości.

Triebenfeld dostał dobra pod Kaliszem, oraz w powiatach: Odolańskim i Ostreżowskim, razem 8 majątków ziemskich, ocenionych na 51,000 talarów; wkrótce potem sąd oszacował te dobra, przy zapisywaniu do katastru, po potrąceniu wszystkich danin i ciężarów — na 700,000. Triebenfeld sprzedał je księciu Hessen-Darmstadtkiem za 400,000 talarów, a ten wkrótce potem otrzymał za nie 750,000.

Hrabia Lütichau otrzymał na wniosek Hoyma kilka wsi, prócz tego kupił kilka majątków; razem nabył 21 folwarków, między innymi kłucz Kowal, starostwo Kopanica pod Babimostem; wartość tych nabytków wynosiła ogółem 110,000 tal., Held ocenia je na 800 tysięcy. Zresztą chodzi tu o sprawy bardzo zmagmatwane, gdyż Lütichau byłwał często tylko podstawią za

innych. „Tak było na przykład z majątkiem Tarnowo pod Poznaniem, który radea sadowy, Graevenitz, dostał za to, że procs rozwodowy półgłowa, hrabiego Guzowskiego z żoną, córkę Bischofswerdera, która mu była narzućli, rozstrzygnął na korzyść tej jeźmościanki tak, że miała otrzymać od me 72,000 talarów. Graevenitz dał hr. Lütichau za Tarnowo 3,000 talarów, a dobra te sprzedał wnet za 65,000.” Tak samo więc Konojad w pow. Kosięńskim musiał Lütichau odstąpić radei sadowemu Reinhardowi w Poznaniu na mocy tajnej umowy z Hoymem, ten bowiem miał sobie polecone uregulowanie urzędów hipotecznych prowincji; stał znał dokładnie wartość majątków wakujących i wybierał je na darowizny.

Dalej spotykamy jeszcze takie osobistości:

Markiz Luceshini otrzymał w darze 10 wsi, między innymi starostwo Międzyrzecz. Ponieważ na tem starostwie miał książe Jabłonowski dożywocie, Luceshini spłacił księciu sumę 151,500 talarów; wartość tych dóbr urzędowo została oszacowana na 500 tysięcy. Held dodaje: „Chytry Włoch wytropił kosek znakomity. Jego trudny poskieci w Warszawie zostały tem hojnie wynagrodzone. Służnie należał mu się kawalek ziemi, nad której podziałem pracował tak gorliwie.”

General Blücher otrzymał dobra, oszacowane na 28,000 talarów. Held twierdzi, że intrata z tych majątków, między którymi był kłucz Duninowski, wynosiła 6,000 talarów; wartość ich więc była co najmniej 120,000 tal. Meyer (*ibid*, str. 196) powiada: Blücher nigdy dóbr tych nie widział, nigdy nie włożył w nie szelaga, a sprzedał w roku 1803 jakiemś kupcowi z Elbląga za 140,000 tal.

Tajny radea von Beyer otrzymał dobra, szacowane na 70,224 tal.; czysty dochód z nich wynosił 8,001 tal., wartość zatem najmniej 160 tysięcy.

Marszałek hrabia Kaysersling wziął pięć wsi, oszacowanych na 59,000 tal., zapłacił za te darowiznę 40,000, a intraty rocznej miał z niej 6,000 tal.

General Zastrow, adjutant króla, dostał 8 wsi, które były własnością Wybińskiego; wartość tych dóbr podano na 87,650 talar., Held ocenia je najmniej na 200 tysięcy.

Minister Hlungwitz, świętoszek i zausznik króla jęmości, podobno nie pobierał pensji, za to otrzymał starostwo Kłobuckie i wieś Kroszyce w pobliżu Makowa i sprzedał te dobra za 200 tys. talarów.

Radea Goldenbeck, syn kanclerza, otrzymał dobra, warte niby 28,800 tal.; przywilej królewski uwalniał je przytem na czas wiecezysty od części podatku. Zostały one potem oszacowane na 150 tysięcy.

Książę Hohelohc — Ingelfinger miał otrzymać dobra, przynoszące 6,000 talarów intraty; przyjaćielskim szacunkiem wyznaczono mu majątki, dotyczące 5 tys. talarów.

Dalej znajdujemy między obdarowanymi także jeszcze figury: książe Ludwik Wirtemberski, książe Radziwiłł, powinowaty króla, księżna Hessen-Philips-Thal.

A oto kilka bardziej kompromitujących historycj: Eisenberg, prezydent miasta Berlina, otrzymując dobra wartości 40 tys. tal. Kiedy Hoym rządził Śląskiem, zdarzył się we Wrocławiu rozruch; Eisenberg był posłany na śledztwo i Hoym padł przed nim na kolana, błagając litości; stał darowizny. Niejaki Leberenz, stajenny króla, otrzymał dobra wartości 100 tys. talarów i odtąd nazywał się von Krackewitz. Held dodaje: „Podobno wzdęły pani radczyni Beyer były kanałem, przez który spłynęły te łaski.” Jakis major Stromberg wziął dobra, wartości 40 tys. tal. „Brat jego, niedyś ofiar obcookrajowy, potem landrat pruski, miał się ożenić z panią Schreyber, metressą Hoyma; tak by się też stało, lecz Schreyberowa umarła nagle.” Niejaki von

Treskow, handlarz norymberszczyzny z Hertlina, niewiadomo za co uszlachcony, dostał za jakies zastęgi 21 wsi.

Zdarzają się i polskie nazwiska: hrabia Urul; Held dodaje: „ten sam, który w czasie rozruchów w Warszawie z trudnością uszedł szubienicy,” otrzymał 4 wsi, jak sądzi Held, „dla zatkania mu gęby.” General Chlewocki dostał 5 wsi, przynoszących 6,000 talarów dzierżawy; „Majątek Komorowo podarował swojej żonie, rozwidzionej przedtem z dwoma jej mężami, a ostatnio z radeą wojennym Bischolem a darowł wtedy, kiedy była jeszcze tylko jego kochanką, ponieważ obawiał się, że zżytkuje przeciw niemu sekrety rozmaite, o których wiedział. Zdarzają się też pomyłki niefortunne: dyrektor poczty w Warszawie, Goldbeck, otrzymał wieś. „Stało się to przez pomyłkę; kanclerz bowiem Goldbeck chciał wziąć te wsi dla swego syna; w kancelarji odtu pomylono się, może z umysłu, i nadanie otrzymał dyrektor poczty. Dla syna kanclerza wybrano potem inne, lepsze dobra.”

I tak dalej, i tak dalej!

Oto jak wyglądało *preussische Wirthschaft* w czasie, gdy Luceshini, Bischofswerder i Buchholz głosił światu o niezrządnie polskim i wyprowadzi z niego znane konsekwencje, w czynie oto ręce doły się dobra koronne. Starostwa miały być niedyś „chlebem zasłużonych,” a zostali zmarnowane; oddano je w czasach upadku chwiej zgrai pasorżtów.

Teraz panowie Bulow i Podbielscy chcą powiększyć kosztem 100 milionów marek posiadłość państwa, która przed stu z górą laty roztrwonili ich poprzednicy. Trzeba — powiadają oni — przyjąć z pomocą nientekiem posiadaczom ziemskim w prowincji poznańskiej. Któż za ci posiadacze? Spadkobiercy Krackewitzów, Triebenfeldów, Rietzów, Bischofswerderów, Lütichauów, Tresków, spadkobiercy marnotrawców grosza publicznego! Sejm uchwalił 100 milionów po to, aby na tych dominiach państwowych, jako dzierżawcy lub administratorowie, opływali, jak pucek w masle, dotychczasowi właściciele. I kto uchwalał? Wnuki owych Hohelohc-Ingelfingerów, Kayserslingów, Graevenitzów, Goldbecków, zasiadający do łez w Izbie panów, uchwalający fundusz na podtrzymanie tych, którym dziadowie ich odprędawali majątki, tak pięknie nabyte.

Dr. J. B. Marchlewski.

#### NOTATKI NAUKOWE.

— *Annales de l'Institut International de Sociologie*. Tom VIII tego wydawnictwa wyszedł w końcu zeszłego miesiąca (Paris, Giard et Briere). Zawiera on rozprawę nad materializmem ekonomicznym, czyli historycznym, która toczyła się na kongresie socjologicznym w Paryżu 1900 r. Obszerny referat p. t. „Czem jest materializm ekonomiczny?” przedstawili wówczas dr. Kelles-Kranzy; obszernie również prace nadesłał: Achilles Loria, Wilhelm De Greef oraz Al. Groppali, prof. uniw. w Medynie. „Stanowisko mater. historycznego we współczesnej filozofii socjologii?” w dyskusji wreszcie brał udział: J. Nowikow, prof. M. Kowalewski, R. de la Grasserie, Adolf Coste, Abrkosow z Moskwy, prof. F. Toennies z Kielu, Nester F. Ward, Limonsin, Puglia z Messyny, Eug. de Roberty i R. Worms.

Wszystkie te rozprawy i przemówienia pomieszczone zostały *in extenso* w tomie „Rocznika,” a prócz nich jeszcze następujące artykuły, nadesłane po kongresie: „Materializm historyczny a sita idei” A. Fouillé’a, „Kilka słów o mater. historycznej,” G. Tarde’a, „Czynnik ekonomiczny w ustroju społecznym” Ed. Sanz y Escartín, członka akademii madryckiej, „Mater. histor. a mechanika społeczna”

<sup>\*)</sup> Właściwie się potem jako gorliwy patriota pruski w walce przeciw Napoleonowi. Pisał o nim Varnhagen von Ense w *Biographische Denkmale*, tom VII.

dr. L. Winiarskiego. Tom kołczy się dość obęzłą repliką referenta Krauza us artykuły i przemówienia uczestników dyskusji.

Stan Instytutu socjologicznego jest, jak się okazuje ze sprawozdania, następujący: Zmarło w ciągu roku ubiegłego trzech członków: Aug. Pulszy z Budapesztu, Karol Letourneau i Adolf Coste; ten ostatni pozostawił paryskim Towarzystwu socjologicznemu, którego był prezesem, całą swą bogatą bibliotekę i 10,000 fr. gotówki. Między nowymi członkami znajdują się: Antoni Menger, Bohm-Bawerk, uczonego ekonomista a obecnie austriacki minister skarbu, I. C. D. Wright, naczelny komisarz wydziału pracy w Stanach Zjednoczonych. Ogółem Instytut liczy obecnie 87 członków rzeczywistych i 44 asystentów. Prezesem us r. 1902 jest Balthazar Hlogisz, znany badacz „zadruzi” południowo-słowiańskiego.

## LITERATURA I SZTUKA.

### Ostatale utwory A. Dygasńskiego.

*Margiela*, *Margielka*, powieść str. 252. — *Gody życia*, powieść, str. 198. Warszawa, 1902, nakładem Juna Fisera.

W ostatnie większe utwory niedoścignionego do śmierci autora „Głodu i miłości” różnią się zasadniczo między sobą. Pierwszy z nich, mimo że liczy wiele pozostań w szeregu dzieł Dygasńskiego jedna jeszcze „ballad”, jakich wiele: „strugi” — to jedynie w swoim rodzaju, wspaniały śpiew labędzi poety i myśliciela, który w nim przekazał potężności swe gorące ukochanie życia i słońca, ziemi i wszystkiego, co żyje, i zarazem ostatnie słowo nacechowanego głębią poglądu na przrode jej siły i zadania, rozkosze i tragedye.

„Margiela i Margielka” nie zajmie w twórczości Adolfa Dygasńskiego wydanego stanowiska. Jest to zwykłe dosyć opowiadanie o ciężkiej doli biednej i niezaradnej wyrobicy, która przypadkiem prawie los obdarzył dzieckiem, a ludzie oburzają za to — obelgami i wzgardą. Rzecz dziwna, nikt u nas nie głosił tak często, jak święto zmarły powieściopisarz, że dobrych i niewinnych niema na świecie, że są tylko silni i słabi, że niema wśród żywych innej miłości, tylko miłość gatunku, w której o to jedynie chodzi, aby słabych zniszczyć lub mooniejszymi uczynić, że jest tylko jedno najwyższe prawo życia: „Bądź silnym”, bo „wśród wszystkich jednolitość danego gatunku zwycięża osobnik najenergiczniejszy, najlepiej dla siebie wyzyskujący wszystkie warunki otoczenia”, co nie jest nawet ztem ani dobrem, lecz tylko prostrą kłopotem. Dygasński powtarzał to wszystko, a jednocześnie u zadnego chyba z pisarzy naszych nie spotykamy równie silnego uczuciowego buntu przeciw tym odwiecznym rzekomym prawom natury. Serce nowelisty-filozofa umiało zawsze, zarówno w świecie zwierząt, jak ludzi, odnaleźć jakiegos niedziesięcznego, upodlegzonego przez los, akrydżonego przez najbliższych „niezdare”. otoczył go kłiwą miłością macierzyńską, uронić łzę gorącego współczucia.

Nie zapominamy jednak, że mimo ludzkiego pozoru racjonalistycznej obojętności i chłodu, mamy tu do czynienia z organizacją psychiczną wyjątkowo wrażliwą i uczuciową. Komuż np. przyszłoby na myśl rozkładać się nad wyciem wilka? A jednak Dygasński w swem napół fantastycznym opowiadaniu „W puszczy” majęcym, nawiasem mówiąc, kilka opisów nie-

zrówananej niemal piękności, nie zawahał się skreślić tych słów zamiennych: „Gdyby ci po ludzku przyszło odczuwać i osądzać wielkie wycie, musiałbyś przyznać, że w niem droga rozpacze czy mściości, którą wywołuje może gorzyc zbyt twardej żywej doli. No, a czemużby wilk nie miał odczuwać swej niedoli? Może ją i odczuwa, lecz silny jest i dużo znosić potrafi. Zwycazej, jak wszelka istota przesładowana, zewsząd szcztu.”

Bohatera przedostatniej powieści Dygasńskiego nie jest nawet takim wilkiem, przesładowany i szcztany przez wszystkich, bo ten ma przynajmniej na swą obronę się miłośni, kłów i pazurów. To tylko chorowita, słaba i dziwnie niezardana w życiu kobieta, która robiła wszystko, ażeby zmarnąć, i przepadała, marniała całe życie. Ludzie, uznani za rozumnych, jak wskowy filozof Tomek Ciechoń, i tacy, którzy się doń powoływali, mawiali o niej: „Nama sobie winna.” Ona również miała to przekonanie głębokie i gotowa była w każdej okoliczności życia powtarzać ulubiony frazes „balist” wiejskiej Hoberkiej, że „w Gwoźdźcieniu są jeszcze do brzy ludzie” — nawet wtędy, gdy, zaledwie się zwlokła z barłogu po ciężkiej chorobie i wyjrzała po raz pierwszy na słońce, równieście i przyjaciółki brzyzną jej w oczach śmiechem szczerzym i obelżywym epitetem małpy; nawet wtędy, gdy przybrała matka jej córki, zamężna, a bezdzietna Budzina, zanękała jej przed nosem drzwi chaty, nie pozwalając choćby raz na tydzień napatrzeć się dowoli własnemu dziecku; może nawet i wtędy, gdy, wypędzona ze dworu, zbita i spowiewierana przez kucharkę, powiedziała sobie prostru: „Teraz chodź kaj za światy” — i na drugo opuszcła rodzinny Gwoźdźcienie z jedynym swym skarbem — obrazkiem z Częstochowy. Są ludzie, którzy mają skromne wymagania od życia. Ale takim — kiepsko na świecie — mogłoby dodać filozoficznie mędrce gwoźdźcienie, Tomek Ciechoń.

Dobrze jeszcze, że nie wykonano na Margieli wysoce humanitarnego wyroku jednej z moralistek wiejskich, która oświadczyła wręcz, że „gdymy w Gwoźdźcieniu było więcej ludzi sprawiedliwych, to takiej małej powinny zgolić włosy, oblać łeb smolą i że wsi wyświecić.” Naturalnie! — „Życie ludzkie obfituje w takie zdarzenia,” dorzucia od siebie autor: „cingle ktoś nam urażę do kogoś i w ozy lub za ozy zaznacza to polierkiem niezwiązi, częstokroć nikczemnik polierkuje zanege, co sprawia na ludzkości wrażenie, jak gdyby cnota utraciła coś z godności. Cnota właśnie w taki sposób staje się czcigodna.”

Jak zwykle u Dygasńskiego, opowiadanie przetrwane jest od czasu do czasu podobnymi uwagami „na stronie.” Jak zwykle również, daje on w niem niejedną silnie odczyt i wybornie namalowany obrazek natury. To ukaże w dali, na tle złotawym sieniarska, gromadę śnieżnych gęsi, którą czają koline, a kuopatwy złożyły sobie paprosko. „To uderzy niechęć w struny samorodnej, pełnej prostoty i naturalności poezy, gdy mówić zacznie o miłym zroku letnim, kiedy niebo ma barwę zielonawo-złotawą, na zachodzie płonie gwiazda przesłizna, a po nad łakami unosi się bieluchna szmata oparów i czajki wyprawiają piski namietne, jakby utyskując na życie, pełne trudów i zawodów. To wreszcie wśród zółkłych lub czerniałych liści, pokrywających jesienią gałęzie drzew po sadach, ukaże na chwilę gwarna gromadka swych ulubieńców pierzastych: zwinnych sikorek, pstrego dziecioła, szczygłów w czapczkach karmazynowych, szarych wróbli, „ptaków zadamowionych,” zapadających

gromadnie na ziemię, i — mysykrólka z ogonkiem zadartym, wyskakującego nagle z jakiejś dziurki podziemnej i znikającego tajemniczo, po narobieniu wśród ptactwa zgłędu i trwogi swym niespodziancom „czyk, czyk, czyk...”

Ten właśnie „krasnoludek wśród ptaków, istota zagadkowa, tajemnicza,” doczekał się zaszczytu nielada. Jest on bohaterem ostatniego wykończonego utworu zgłasnego powieści, potężnego hymnu na cześć natury i życia, który, w przecieciu może zbliżających się uroków grobowych, wypiewała rozkochana we wszechprzyrodzie pierś poety, ostatniego filozoficznego *sredo* myśliciela, który potrafił w nim ogarnąć szerokie widnokręgi i wnieść się wysoko po nad pesymizm zdawkowy, z jakim zresztą w gruncie rzeczy i przedtem wyjątkowo tylko spotykaliśmy się u Dygasńskiego.

Wprawdzie, w miarę postępu swych prac tworzącej, ostatnie dzieło rosło pod piórem autora: rozszerzyły się jego ramy, potrzebował też, wznagło się nietylko znaczenie. To też i pierwotny tytuł, „Mysykrólki, czyli gody życia,” uległ zmianie w wydaniu książkowym, i została z niego tylko część drugi. Nie pojedyncze ptaśże, ale życie całe w jego pełni i rozgwarze, szczęściu i niedoli, jest prawdziwym bohaterem tej książki, z której kart bije dziwny majestat i powaga. Niemniej jednak i drobny mysykrólki, „krasnoludek wśród ptaków,” odgrywa w niej rolę poczesną, a losy jego skromnego żywota są motywem, do którego aż do końca autora powraca stałe.

W jednym z pierwszych swych utworów beletryzycznych Dygasński wprowadził epizodycznie postać niejakiego Wywalkiewicza, który nie pojmwiał i nie podzielał jego „interesu dla rozmaitych zwierząt” (gile, zioher, czyżki, wróble, sikory, sowy, oraz bohater opowiadania, oswojony wilk, mogły go chwiliwo zajmować i rozveselać, ale co to jest niepokoić się losom psa, wilka lub ptaka, o ile z tej strony nie grozi nam strata materyalna, tego Wywalkiewicz nie rozumiał. Był on pod tym względem kutek w kutek podobny do znacznej większości ludzi, którzy dotąd mają jeszcze zbyt wiele trosk własnych, zbyt wiele egoizmu i bezwzględności, by móżdż parzyć na zwierzę inacej, jak z brutalnie utylitarne go stanowiska.

Kiedys, w dalekiej przyszłości, zmieni się może ten stosunek, i altruizm, mający dziś jeszcze tak dużo do czynienia w świecie ludzkim, zwróci się może wleśny w stronę tych „gdzarzy życia” że afery wierzceję, opisywanych z taką miłością przez autora „Asa” i „Zajaca.” Utwory Dygasńskiego mogą nabrać wówczas szczególnego znaczenia. Ale i dzisiaj są one ze wszelkich miar godne uwagi, jako pierwsza w literaturze próba zajrzenia głębiej (i zajrzenia wogóle) do duszy, wziejącej i odtworzenia jej z ogromnym zrozumieniem i współczuciem, a zarazem z realizmem zupełnym. Pod tym względem głośnie dziś i ciekawie, lecz w znacznej mierze fantastyczne obrazy Kiplinga, osnute przeważnie na zupełnej fikcji rozumienia przez niektórych ludzi głószych zwierząt, wprowadzające, jak w bajkach, ich pogawędkę i rozprawy na sposób ludzi, nie zmniejsza zasług naszego pisarza, który zresztą dopiero przed rokiem czy dwoma poznał się z utworami Kiplinga, a zaczął pisać wcześniej od niego.

Leż w „Goiach życia,” jak zaznaczyliśmy już, jest coś więcej, niż historia mysykrólki, którego dzieje, wplecione w szereg niepospolitych obrazów puszczy pierwotnej w różnych porach roku, w opis staroświatowskich obrzędów i uroczystości, w mistyczny i podniosły hymn na cześć życia, słońca i wszechprzyrody, mają raczej charakter epizodyczny. Autor zresztą umiał wzbudzić zajęcie i współczucie dla smutnych losów swego „krasnoludka,” którego, mimo strasne klęski, spadające na



jego gniazdo, uczynił niejako usobieniem czy przedstawicielem poezji i optymizmu życiowego. „Szczęśliwy, kto wnieśnie głowę w górę i na widok szmaty jasnej błękitu niebios zapomina o powszedniej niedoli życia! Ciernie ostre żywota czestokrot ranią go bardzo boleśnie; on tem pięknie śpiewa. Wesołek natchniony, igrać czy wieszcz z łaski bożej? Gdyby takich nie było w puszcy, mieszkający jej ugryzłby w błocie samolubstwa, w dbałości niewstrzeżliwej o kęs chleba, i zapomniałby, że niebo przeczudne jest nad nimi: zadza tuszy dobroty rozpięłaby ducha na krzyżu. Śpiewaj więc, myśkrólku, o śpiewaj, chociaż za to oburzają się na ciebie!”

Szerokim podzem epika odzwiera autor różne fazy życia: głód i niedole ciężkich dni zimowych, wielki wioenny poemat miłości, obfitość lata, smutek i melancholia jesieni; przesuwa przed nami oczyma szereg obrazów przedmiotowych i daje wiele głębokich wyłów lirycznych, pozwalających zajrzeć do samego dna tej, mimo przeciwności wszystkie, dziwnie pogodnej duszy. „Gody życia” nie są powieścią w zwykłym znaczeniu tego słowa i nie zadawola zapewne przeciętnych pożerać beletrystykę, szukających w niej głównie jaskrawej i zajmującej bajki. Jest to poemat, natchniony miłością przyrody i wszystkich objawów życia, szumem odwiecznych borów i lasów, wonią łąk i pól, dalekiem echem wspomnień prastarych; jest to duchowy testament poety i myśliciela, który na kilka miesięcy przed śmiercią, odczuł, jak nigdy przedtem, że życie jest radością i szczęściem i nauczył na jego cześć podnieść hymn nadziei.

W żadnym z swych utworów poprzednich nie doszedł przytem Dygasinski do takiego, jak tu, zrównoważenia duchowego, do takiego pogodzenia się z temi nawałtami życia, które przedtem budziły w jego duszy rozdziewik niezadowolonia i buntu. Autor nitylko rozumie i uznaje, że jedna połowa życia jest szczęściem, druga — cierpieniem, a obie przechodzą w wieczność i rostawiają po sobie światu księgi dziejów, że na tej ziemi cierpieć, jak i kochać, jest koniecznością niechronną, ale — co więcej — dochodzi do wniosku, że kto do zgony nie znał niedoli, ten nie ma miary dla wartości życia, ten i o szczęściu wie niewiele. „Szczęście samoluba jest małe, niskie, wystarczające tylko temu, kto na drogę zaparta o współzucia w doli i niedoli ze światem szerkim”. Nie to nie znaczy, że ze przypadki, niecierpiąc szkodzą po świecie. „Trzeba nieraz zginać, aby innym utworac drogę do zwycięstwa, umrzeć, aby dobrej sprawie życia zapewnić przyszłość. Umieść kochać, umieć walczyć, cierpieć i umrzeć! Byt doczesny bez tego przykazania byłby marny, pozabawiony uroków wiary i nadziei!”. Rozszerzając i formułując ostatecznie wypowiediane dawniej poglądy, autor powtarza z naciskiem, że szczęście prawdziwie wielkie leży po za granicami samolubstwa, a miłość życia posuwa aż do twierdzenia, że dobrze jest żyć — nawet w cierpieniach niedoli, gdyż „wielka boleść, każda walka dodają życiu znaczenia i czynią je dopiero pięknem”.

Na te tego pogodzenia się z życiem i jego odwiecznymi prawami, zrozumiałym się staje podnieśli panteistyczny hymn do natury, jeden z najpiękniejszych ustępów w tej książce i w twórczości Dygasinskiego wogóle:

„Świeć i świeć się Ogniu boski, żywy, czysty, w słońcu, gwiazdach niebios, w zanadrach ziemi, w błyskawicach obłoków, w płomieniach ognisk domowych, w żarach i iskrach świętych nieśmiertelnego życia ducha!

(Cześć ci, Wodo żywa, czysta, któraś jest w morzu, rzekach, strumieniach, źródłach, w chmurach, w łąkach żywnych, dających

ulgę niedoli, w łąkach skruchy szczerzej i zału z rzewnego, oczyszczających wszelką duszę z brudu samolubstwa!

Ogniu ojcie, płoń i zapalaj wielkie pragnienie życia, świeć na ołtarzach serc naszych, wybuchaj płomieniami miłości, pożoż obróć w nicotę soboktowo, uszlachetnij zapalem wczestworzenie!

Wodo matko, daj płodność niwom naszym, krzep i orzeźwiają spragnionych, gaś pożary straszne zniszczenia, zalewaj świat przebraczenia pożożę nienawiści i wróży!”

Z każdej niemal kartki „Godów życia” bije do czytelnika myśl przewodnia, że mimo nędz, trosk i bólów przemijających, czesto nawet — dzięki tym bólom, życie samo jest pięknem, szczęściem i rozkoszą, o ile nie zamyka go człowiek w ciasnych i brudnych ramach samolubstwa i egoizmu. A do pesymistów zawodowych i urzędowych placzek literackich, których nie brak zwłaszcza w poezji współczesnej, książka ta zdaje się przemawiać dobitnie zmienioną nieco strofą sanykawką: „Nie mów, że wszystko, czego ty nie umiał odnaleźć w życiu marę jest zwodznością... Zdrój uciech życia będzie innym szumiał i inne serca pól swa słodząca”.

Wł. Bukowiński.

## LITERATURA NIEMIECKA.

„Sensacya” sezonu.

Sensacya — „ein Schlager,” powiedziałby kupiec niemiecki — bieżącego sezonu jest szereg publikacji, pochodzących z pod piór, kierowanych białymi paluszkami niewieściami. Istna powódź książek, pisanych przez dziewice, pół-dziewice i młode mężatki, spłynęła na literaturę\*).

Sensacya ta jest objawem charakterystycznym, znanomującym poziom literatury niemieckiej wogóle.

Nie jestem szowinista w ocenie przejawów sztuki poszczególnych narodów. I nie stwierdzam że złośliwym zadowoleniem faktu, iż popsuło się coś w królestwie sztuki wrogiego nam narodu. Przeciwnie: smutkiem przejmuję mniemamy o wszelkim zastojem w tej dziedzinie, gdziekolwiek on występuje.

Faktem jest jednak, na którego uświadomienie nie wpłynęła w najmniejszej mierze pobudka szowinistyczna, że modernizm niemiecki stałe lot swój obniża, że się banalizuje, szarżeje z jednej, a pstrokujeje z drugiej strony.

Najwidoczniej właśnie przejawia się to w „sensacjach” sezonu. Są one bowiem licznym, wskazującym krytykowi poziom kulturalny danego społeczeństwa. Dla dyrektora teatru i nakładcy stanowią kopalinę złota; krytyk dochodzi w nich psychologicznie, jakie warunki są potrzebne, aby dane społeczeństwo uczuło się zelektryzowane, ożywione i przejęte.

Kiedy „sensacya” w literaturze niemieckiej był Hauptmann i jego „Dzwon zatopiony,” cieszył się dyrektor teatru, zachlewał rze nakładca — a myśl krytyka mierzyla poziom, na który społeczeństwo wzniesie się miało, aby się zbliżyć, wnikać i rozplonać do tak wysoce stosunkowo nastrojonego kulturalnie i ideowo utworu artystycznego.

W tej chwili — a przeżywał właśnie w cichej izdebce wejmarowskiego pałacyku piewca „nadczołwiec” swój zmierzch w okowach nieświadomości... — zdało się, iż

nowa fala ideowa podnywać zaczyna zapieśnię i zatepłe komory, w których zamierały resztki epigonów poromantycznych i przednaturalistycznych. Lecz była to tylko chwila nadziei.

Bo kiedy na grobie idei nietzscheańskich korowody geniuszów bez teki, nadsławców, fabrykujących en masse „nadczołwieczenstwo,” jęły wyprawiać dzikie harce, kiedy żywotność i siła talentu Hauptmanna równie preddko, jak się przejawiały, chyliły się zaczęły do upadku — wówczas wszelki rozmach, dążność ku wzniesieniu się oszebel był wyżej, gdzieś się zapodziały, a przeciwnie wystąpiła skłonność ku niżaniu się, zstępowaniu tuż ze szczebla na szczebel, coraz niżej i niżej...

Pierwszym takim etapem była literatura nad-scenki. I ona była „sensacya” sezonu...

Nadczołwiec, ten dumny pan stworzenia, pówracający z niebotycznych wyżyn z duszą pełną zwiadomością głosów, z myślą, przepojoną świadomością o własnej wartości, przebrał się w strój *rococo* i począł — uszlachetniać, modernizować *café chantant*. Chciał dokonać wielkiego przewrotu w świecie ducha, w przekonaniach ludzkich o bycie, przemiany wartości, obecnie uznawanych, na nowe, lepsze, a zaczął wiespywować zmysłowe piosenki, deklamować kunstownie stylizowane poematki. Z wysokości dytrambu runął w przepaść wirtuozowską, formy i treści. Zapodział gdzieś płomiennego ducha, została mu tylko duma.

I znów Hauptmann napisał kilka dramatów, które jednak „sensacyami” już nie były. Sensacya był *Über-unter-neben-neues-Brett!*...

Cieszył się więc dyrektor teatru, zachlewał rze nakładca...

Dobrze jest, jeżeli krytyk notuje sobie dokładnie w pamięci „sensacye.” Niezawże są sprawiedliwe, nawet czesto bardzo niesprawiedliwe i nieumotywowane — zawsze jednak odzwierciedlają poziom kulturalny.

Literatura nad-scenki spełniła swoje zadanie; rozmożniła poetów „światowej” sławy, Bierbaumów, Wollzogenów, Hartlebów, Eversów — i poszła na wędrowną, Biedna! Nie przezuwała, że idzie pod topór!

Nie przeszło kilka miesięcy, i „świat” napisał nad-sceńskie szereg wrzuszających, naprzemian sentymtalnych, to znów zgryźliwych nekrologów.

Przyšla kolej na następną sensacyę. Są nią publikacje dzieł i półdzieł niemieckich. Znow nakładca zaciara rze...

Ze pewna warstwa społeczeństwa wypowiada się wobec społeczeństwa, że ma mu wogóle coś do powiedzenia — nie może to być objawem utymnym.

Pytanie jak: co powiada i jak powiada, inaczej mówiąc: czy to, z czym się uczennetrnia, zasługuje na to, i czy mówi szczerze, otwarcie, bez uboższych celów i względów. Harmonia między tymi dwoma warunkami jest nieodzowna. Znam w najnowszej literaturze dzieło, będące również spowiedzią przed światem i napisane także przez kobietę „modern.” Mówię o pamiętniku Marii Baszkirczew. U niej owy wypowiedzenie się było zupełnie szczerze, nawet nosilo cechę wielce naważnej szczerości. Marna była tylko istota — owego „co” pamiętnika. Bo kiedy Baszkirczew pize: „Dziś po raz pierwszy zrozumiam moja suknie!”, albo: „Znam kogoś, kto mnie kocha, rozumie, całe życie poświęca, nigdy nie zdradzi, a tym jestem ja sama,” albo kiedy w zachwiecie staje przed lustrem, a potem notuje w pamiętniku: „Co za wspaniałe czoło, o którego piękności i szlachetności dotychczas nie miałam wyobrażenia. Zmienia mnie ono zupełnie. Nadaje mi wyraz imponującego dziewczęcia; mam wrażenie, jakbym w tej chwili zstępowała z tronu,” — wtedy nikt nie wątpi o szczerości tych wynurzeń, lecz każdy z politowaniem wzru

\*) Vera: *Eine für viele, Tagelicht eines modernen Mädchens.* (Odpowiedzi: Christine Thaler: *Eine Mutter für viele*). Else Alenjeff: *Tagelichtblätter einer Emanzipierten*, i w. in.



szy ramionam, gdy się zastanowi, co właściwie jest ich treścią.

Dyamentralnie przeciwne są wynurzenia dziewczę niemieckich, oczywiście tych, które je w książkach umiejscawiają.

Nie wierzę absolutnie w szczerłość i bezpodrobnostę dłażności, tęsknoty i rozpaczy, jakimi te książki są przepelnione; uznaje natomiast ich przedmiotowe znaczenie.

Bo kiedy Maryja Baszkirew była symbolem i karykaturą zarazem tego prądu, u którego ujęcia lśni jedwab, dyament, śpiew, życie, bałe, zgraja cokanków, toalety, Nizza, Paryż itd., kiedy tragiczny los Maryi był wynikiem rozdźwięku między zewnętrznym przepychem i pogonią ku niemu a nieprzyjaznym zbigniętem okoliczności, również zewnątrz fizycznych — to dziewczę niemieckie nie zgłża z tą sferą życia nie maja do czynienia.

Rozdźwięk, który u nich spotykamy, nie jest spowodowany warunkami i czynnikami zewnętrznymi; rana, którą im życie zadało, nie jest widoczna oku fizycznemu, krwawi się wewnątrz, w głębi duszy, którą szarpie w strzępy, rozrywa i paraliżuje.

Każda z nich ma głowę nabita myślni, każda myśli gorączkowo, z wypiekami na twarzy, oczyma wpatrzonymi gdzieś... gdzieś nie wie... gdzieś, ku tym rozłogom szczęśliwości, tak oddalonym od mik obecnego bytu. Stan swój nazywa jedną: „Ein tiefes, verlorenes Einnehmhorchen in sich selbst.“ druga: „Ein Sich—in—sich—selbst—Verkiechen.“

Skierowawszy całą potęgę swych władz duchowych we własną jaźń, widzi tam piekło...

— Ich brenne, ich brenne! — woja jedna. — In meiner Phantasie bin ich eine Dirne! ...Und in Wirklichkeit!... Aber man hat noch nicht einmal meine Fingerringen gekusst! — oburza się druga na myśl, iż mimo „tragedyj“ jej bytu, niej kto za świętą uważać nie chce, niej jej się do stóp nie kłania, palców nie całuje.

— Und wenn nichts kommt? Nichts... Warten... warten... — szepeje trzecia, wpatrzona w oddalającą się wizję szczęścia.

— Gebt uns Wahrheit... Wissende Mädchen — glückliche Frauen! — krzyczy inna. Tak długo przed nami ukrywano prawdę, chowano światło pód korzec, ludzono nas i oszukiwano!

Żaden mężczyzna nie zdołałby z taką jaskrawością, takim wryzmem otworzyć rozkpienia krwi, buntu ciała, rewolucyj ducha, jak to dziewczę o cienkich, białych, zawzięcie piskzących paluszkach.

Jako fakt społeczny, ten szereg publikacji jest rzeczywiście niezwykły i interesujący, w wykonaniu — brutalny i wstrętny.

Szereg romansów, których akcja własnie dziewczętom, napisanych z narzucającą się wprost żądzą sensacji, żantrygowania, a nierazko i pustego popisania się niezwykłością uczuć i wrażeń, zrzuconych na polki księgarskie, jako pokarm dla smakosza „pikantery“ — jest stanowczo ujemnym przejawem w literaturze. Dawniej „pieprz“ romansu polegał na opisanju przebieg sercowych awantur; dziś „czyta“ dziewczę odlatania swą duszę, wnika w tajnie ewego serca, analizuje je i bawi nimi innych.

Sensacja bieżącego sezonu jest dla nakładcy-księgarza objawem wielce dodatnim; krytyk jednak, wnioskując z niej stopień napięcia psychicznego danego społeczeństwa, patrzy się na nią mniej rózwo-

Literatura niemiecka ostatniej doby widoczna odbywa ewolucję; lecz z życia w nią.

Bertold Mercion.

## WYSTAWY WARSZAWSKIE



daje się, że najbardziej ożywiony ruch na naszych wystawach artystycznych idzie w parze z okresem błota, śniegu lub deszczu, jednym słowem z końcem jesieni i zimą. Za granicą przeciwnie, wystawy urządzone bywają przeważnie na wiosnę, w okresie dni długich widnych, kiedy ani zimno, ani skwar nie wystrasza z salonów. Wiosennie wystawy są tam poprostu zasadą.

Czy publiczność nasza zna tak samo tę porę roku za dogodną dla siebie, trudno przesądzać, lecz obecne pustki na wszystkich wystawach uosabiają do wniosków pesymistycznych. W każdym razie pierwsze usiłowania w tym kierunku uczyniła u nas grupa, która się sama nazwała „młodymi artystami polskimi“ i urządziła „Wystawę wiosenną“ w Salonie Krywulki.

Hm!... młodzi polscy artyści... zapewne... siwych między nimi nie tak wielu, choć żywych już nierównie więcej, więcej może, niż tych, których naprawdę by można nazwać młodymi. A więc to nie o metryki chodzi, ale o ducha twórczego. Mają to być przedstawiciele młodych usiłowań, młodych prądów, dążeń w sztuce. Lecz i pod tym względem nie widzimy dostatecznej miary i jednolitości. Nazwijmy więc rzecz po imieniu: jest to wystawa licznego grona artystów, kółka czy koteryki, która słuszenie mogła zaprzagnąć wystawie awa prace tak, jak sama uważała za właściwe, i w otoczeniu kolegów takich, jakich sama chciała dopuścić.

Pragnienie to jest zupełnie uzasadnione pod warunkiem, żeby nie monopolizowało jedynie dla siebie pewnych hasel artystycznych. Wystawę taką jest się ogłaszać światu. My, którzy tu jesteśmy, stanowiący te siły młoda, która pcha sztukę polską na nowe szlaki, ei zaś, których tu niema, są to fabrykanci obrazów, pedlarze i „mamuty“ bez talentu i ideałów.“ Tymczasem tak nie jest. Wróć obecnych zaledwie kilku many takich, którzy w pracach swychznaczali już indywidualność szerszą i talent niezależny. Reszta mimo lat i łysin ciągle obiecuje i tylko dopiero zapowiada, że zażdziwi świat dziełami przyszłymi, a tymczasem wystawia dorywczaje próbki talentu, czasem bardzo dobre, czasem bardzo złowienne, czasem zmniejszane, a czasem nierównie mniej szczerze, a bardziej przez swą dziwaczność obłożone na reklamę i portmonecie spodziewanego nabywcy, niż pospolite niby i na zimno fabrykowane na sprzedaż obrazki „mamutów.“

Trzeba przedewszystkiem raz sobie powiedzieć, że artysta o tyle zasługuje na tę nazwę, o ile jest samodzielnym. Wszelkie więc naśladowanie innego modnego lub sławnego malarza będzie zawsze tylko naśladowaniem bez względu na to, czy ktoś będzie przedrzecznik Bernarda, czy też starego Bouguereau; Segantinię czy Boldinię; Stucka, Böcklina czy kogo innego.

Te więc pretensje genialności, wypływające jedynie z zasady, że się nie naślądaje Matejki, Brandta, Gersona, ale Stanisławskiego, Wyspańskiego, Malczewskiego lub jakiego modernistę obcego, są wprost śmieczne. W dodatku dzisiejsi naśladowcy modernistów biorą często szerokie i brawurowe traktowanie prac swych mistrzów za jedno ze swą własną nieudolnością i niedołączem technicznym.

Wykonanie kompozycji ze znajomością rysunku i bez błędów elementarnych, od których w pewnym stopniu bronią poważnie studia akademickie, wytwarza w ich oczach rzecz banalna, ale niechęć to samo dzieło nosi cechy niedołączym — dopatrz się w niem odrzuca niepospolitego talentu i oryginalności!

Dziwnie np. pretensjonalne, a nad wyraz nieudolne są prace Siedleckiego, Dyzmańskiego lub Wyszynskiego, z tem zastrzeżeniem, że gdy Wyszynski dowiódł w portrecie starszej kobiety, że potrafi, gdy zechce dać rzecz technicznie bardzo dobrą, a w „Improvizacyi“ — że umie rozłożyć plany barwne, były pozostałi podobnych dowodów nie złożył. Wyszynski sili się widocznie na nieudolność w swych rysunkach głób Chrystusa, jakby chciał stać się w nich szlachetnym odbiciem Bięgasa.

Muszę dodać jeszcze, że wystawa robi chwilami wrażenie nagromadzenia prac doręczonych lub zwykłych studiów, których częścią mogła być śniadło nie wychładzające z tek autorów. Lecz pośpiech ten i dorywczość inożna usprawiedliwić okolicznością, że jest to pierwszy salon, urządzony przez dane kółko artystów. Następnie będą zapewne albo lepsze i ciekawsze, albo, przeciwnie, bardziej zmniejszane. Przyszłość pokaże.

Ale tymczasem obecna wystawa zainteresowała, bądź co bądź, zarówno świat artystyczny, jak i szerszą publiczność. Nie tyle jednak osiągnięto ten rezultat doborem dzieł wystawionych, co umiejtnym urządzaniem samej wystawy i cechami, jakie postarano się nadać całosci tego popisu.

Pod tym względem wystawa wywiera wogóle wrażenie bardzo estetyczne. Można nie zgryżdzając się z nadem z obrazów, a jednak, będąc po salach, odbierać miłe wrażenie często artystycznego, gdzie obrazy i rzeźby tworzą barwne plany, dobrze harmonizujące z draperjami i zielenia, nie natłoczono i nie kłócające się z sobą, a prztem w każdej sali jakies odmienne i inaczej dobrane. Wrażenie to osiągnięto przy pomocy bardzo skromnych środków, więc jest ono tem większą zasługą poczucia artystycznego organizatorów.

Za granicą każda najskromniejsza wystawa dla o poprawny wygląd ogólny i tam śmiešanem byłoby tak długo rozwodzić się nad tym szczegółem. Tymczasem u nas takie urządzenie wystawy dorasta niemal do rozmiarów jakiegoś faktu wyjątkowego, co jest tylko skutkiem barbarzyństwa pojęć estetycznych tych, w czyje ręce dostawało się najczęstiej organizowanie wystaw dotychczasowych.

Druga cechą niezmiernie powściągliwą i niebezpieczną za granicą, a u nas występującą jako zjawisko wyjątkowe, znów tylko wskutek dotychczasowej objętości na tem polu, jest katalog ilustrowany, który ukazał się od pierwszego dnia wystawy. A wydany został nie jako swistek drukowany niedbale na gazetarskiej bibule, lecz jako pamiętka artystyczna, będąca możliwie najpełniejszą wspomnieniem po zwiedzonej wystawie.

Na to właśnie usiłowania podniesienia stopnia naszych potrzeb i wymagań estetycznych, odkrycie nowych dla nas źródeł zaдовоlenia, dają prawo tej grupie artystów nazwać się „młodymi“ i dać lekceży poglądom „tym starym.“

Ze „tym starym“ lekcyta ta nie mogła przyspać do smaku, więc, odczuwając całą różnicę ogólną i zewnętrznią, radzi byli powetować ją sobie i znaleźć w pojedynczych obrazach niejedno do słusznej przgany. My jednak nie pójdzimy w ich ślady, bo cieszy nas każdy krok, zrobiony w kierunku ustabilnienia naszej wrażliwości na piękno, znaczący więcej na samym początku dziawca najbardziej rażące i najnieumytniejsze, bo tchnące bądź nieumiejętnością, bądź poza nieszczerą, wolimy się teraz zatrzymać tylko przy tem, co piękne i dobre.

Na wstępie spotykamy się z szeregiem studiów krajobrazowych E. Niewiadomskiego. Znany i ruchliwy krytyk przypomniał się nam jako artysta. Są to tylko studia, notatki, ale rzeczy sumienne, traktowane umiejtnie i z talentem.

Portrety Krzyżanowskiego rozrzucono po wszystkich salach. Najlepszym wydaje nam się portret pana B., malowany szeroko i z charakterem, ale i z pewną utrwalającą się już u tego artysty manierą. Zato wglówę podobizny pp. Przemyskiego i Frenkla celują jedynie dobrą plastyką, po za tym bowiem o krok już tylko stoją od karykatury. Jeśliby autor twierdził, że pomad drobiazgowo podobieństwem zewnętrznym stoi wyżej oddanie ogólnego ducha danej postaci, co zresztą jest bardzo słuszne, to zauważyć można, że w tych dwóch portretach przy niezachowaniu podobieństwa czystolinijnego, artysta bynajmniej nie umiał odnieść owego „portretu-duszy”. Poeta Przemyski jest spocynym piwowodem, zadowolonym z tylko co spożytego śniadanka, a Frenkel nie wyobraża „takiego”, który dzięki swej inteligencji i obserwacji jest w stanie odtwarzać różne typy śmiechu, lecz bori wrażenie jakby sam był takim właśnie typem, mimo swej woli i wiedzy.

Obrazy Kazimierza Stabrowskiego należą do najlepszych na wystawie. Artysta kocha się w szarym, ciemnym zmruku, który potwarza zarówno na wystawie wiosennej, jak i w znajdujących się ponownie w Tow. Zachęty kompozycjach wiskych.

Felka W. gryzłowski dał „Taniec czarownic”, kompozycję najpoważniej pojęta z całej wystawy. Rysunek figur bardzo pewny, a ton przeprowadzony umiejętnie.

(D. n.)

Sierp.



Tęsknota moja, towarzysko wierna...  
Ty, Pani biała, wieczna wędrownico...  
Przed nami droga daleka, bezmierna,  
nieznana jakąś bieży okolicą...

Ponura droga, ustały ją kości  
tych, co szli tęd, myśląc, że pochwyca  
jakieś tęczowe mary, że zagrozi  
słońce w ich duszy... Zmężoną żrenicą

próżno walczącą wieczne życia ciemnie,  
idę za tobą... dokąd... w szczęścia światy,  
w świat, gdzie się duchy nie łamią daremnie,  
gdzie oproniała słońce marzeń kwiaty,

a duch człowieczy nie pełza przziemie,  
lecz głós swój z piemien archaniołów wiąże...  
Idziem... a życie śmieje się z nas... ze mnie...  
Tam, kędy wielki wszechstworzenia książę,

w głębie swej duszy zapatrzonzy boskiej,  
wryki świata niewzruszone pisze, —  
idziemy czytać tajemnicze głoski,  
idziemy stargać wiekusiątą ciszę,

idziemy wrzecz bytu tajemnicę...  
I czasem, w jakiejś dziwniej, śmiesznej pszycie,  
marzym, że ona odstąpi nam lice...  
A tam się w chmurach niby sęp kołysze

piorn żarłoczny... uderzy... zabije...  
Przy drodze stoją rzędami topole...  
tam wół ciągną plug, jarzmo im szyje  
ganiecie... Ian orzą, wzrosną tu kąkolce...

Tam się zaczął głodny wilk na owęg,  
tam czerw się wryza w rżnię kwiatinę róży,  
tam uśmieci żył drogą wędrowce  
w ziemi spojeżli... nie mogli się dłużyć...

Tam plami lilii białej na kałuży.  
A tam się słońce pali promieniste,  
tam człowiek sześcię chce z zatrutej kruży  
pić... a znów inny płwa w kryńcie czyste...

Słońce tak jasno świeci... tyle ztota  
kaskadą spływa na ziem, na ugora...  
Przedemną białą wiać idzie Tęsknota,  
prowadzi kędys za góry, za bory,

dalej — i dalej... dokąd? hen! do Słońca, —  
a może dalej... nie wiem... wszystko jedno...  
wiem tylko tyle, że droga bez końca,  
że po nad ziemię ciemności nie rzędzą,

choć słońce świeci, że Tęsknota biała  
na duszę moja rzuca jakieś czary...  
idę wiać za nią, duszę mi zabrała...  
...A Ból się śmieje — wie wszystko tenstary...

Wacław Makowski.

## K E L O S K I.

Muzeum wojny i pokoju. — Pan Wojciech von Kossak w Malborku. — Wypadek z dyrektorem. — Jedyny prawdziwy wizerunek. — Zwycięstwo pewnego szpiala. — Pan Rabski o reklamie.

Stał się fakt, który stosunki dyplomatyczne-międzynarodowe przekształcił niezawodnie do niepoznania. Oto w Lucernie zostało otwarte „Muzeum wojny i pokoju” założone w myśl i na życzenie niedawno zmarłego finansisty i autora prac ekonomicznych, J. G. Blocha, przez spadkobierców jego imienia i sławy; a dziennikarze warszawscy pojechali do Szwajcaryi oglądać to cuda i wynosić pod niebiosa hojność i mądrość zmarłego potentata finansowego. Jest to, oczywiście, niewinna zabawka i poważnie chyba nikt nie myśli, że Muzeum może mieć jakakolwiek doniosłość cywilizacyjną. Ale zabawka to kosztowna i przykrością patrzeć musimy, jak groźną, tak skąpo w ogóle udzielną na cele publiczne, wędruje gdzieś, na koniec świata, wyłącznie tylko dla zadowolenia próżności i pychy, kiedy tyle jest w kraju krzyczących potrzeb pierwszorzędnej wagi. Ale u nas już taki zwyczaj: jeden zgrywa się w Wiedniu lub Monaco, drugi rozruca tysiące na polowania egzotyczne, trzeci nazwiskowo swemu wznosi szpiz niepożyty głupstwa i arogancji. A jednocześnie — przykład z brzegu — lecznicze bezpłatne nalecieczaliśmy, pomimo bałów karnawałowych i rautów postnych, zamykając się na kilka miesięcy z powodu braku funduszy. *Ewa Larta!*

Pan Wojciech von Kossak, nadworny malarz cesarza niemieckiego, wydaje się, jak na artystę, pod pewnymi względami, dziwnie — mało wrażliwym. Ze wygody w Sans-Souci przynosi nam kłopoty i niedostatek życia artystycznego, to rzecz — nie piękna wprawdzie, ale ludzka: nie każdy ma sumienie, jak stal, a kark, jak pień dębowy. Ale teraz żądność p. Kossaka przesłała już wszelkie granice dozwołone; był on obecny na słynnych uroczystościach malborskich, wysłuchał całej mowy cesarza Wilhelma — i nie zakłopotał się nawet dwuznacznością swego położenia. P. Kossak uważa się podobno za malarza polskiego; przypuszczamy jednak, że chodzi mu głównie o malowanie nie kark, a czy na jakimś balanku lub szpaku posadzi skrzydlatego husarza w rystej skórze, czy huzara pruskiego w kaskiście i obcisłych spodniach, to już dla p. K. jest tylko, zdaje się, kwestya — wyższego lub niższego wynagrodzenia.

W Łodzi zaszedł znów wypadek, dający wiele do myślenia. Niemiec, dyrektor tkalni, należący do zakładów K. Scheiblera, dotąd obchodził się brutalnie z robotnicami, rozdzielał między nie niesalowne epitety „świn polskich” i inne komplementy w tym rodzaju, aż pewnego dnia zniecierpliwione kobiety zmusiły pana dyrektora do wymienienia się po za obręb zakładu. Rozprawiamy dużo o emancypacji naszego przemysłu z pod jarzma niemieckiego, a tymczasem tu, na naszych własnych śmie-

ciach, Niemcy urągają nam bezczelnie i pływają na nas z pogardą. Zaprawde, jesteśmy bardzo ubodzy, skoro od takich panów, jak ów dyrektor, potrzebujemy pomocy i wskazówek fachowych. Kiedyś naleździe czas, że będziemy mieli wreszcie dostateczną liczbę własnych majstrów, techników, dyrektorów i że panowie fabrykanci zechcą tu w kraju korzystać wyłącznie z ich pracy?

Kto nie rozumiał dotąd, dlaczego jedna z gazet tutejszych narobiła tyle hałasu z powodu rzekomej „relikwii turyńskiej”, choć jej autentyczność podawana była w wątpliwość nawet, przez świątejskie przedstawicieli kłemu katolickiego, ten niechaj weźmie do ręki pierwszy lepszy numer „Wielu ilustrowanego za 2 kopiejki,” a na samym wstępie uderzy go zapewne olbrzymie ogłoszenie o „jedynym prawdziwym wizerunku Chrystusa.” To „jedynie zdjęcie z relikwii świętego calunu” sprzedawane była dobrodusznym czytelnikom wraz z objaśnieniami i modlitwą pewnego pralata, po korp. 20, 50 i po rublu. Im droższe, tem, naturalnie, lepsze i prawdziwsze... Adres wydawnictwa wizerunku jest, rzecz prosta, identyczny z adresem redakcji pomysłowego dziennika, który ta drogą wyciągnie sporo z kieszeni „maluczkich.” Czyż może kto twierdzić jeszcze, że wydawcom naszym brak sprytu i „inwencji” kupieckiej?

Inny dowód pomysłowości złożył świeżo zmarły lekarz szpitala św. Ducha, wydając rozporządzenie, aby chorych, przywołanych przez Pogotowie ratunkowe, nie wpuszczano do zakładu, dopóki lekarz miejscowy nie stwierdzi konieczności przyjęcia. Skutkiem tego zdarzył się w tych dniach wypadek, że chora handlarzka z ulicy Bonifratskiej umarła przed brama szpitala, nie doczekawszy się jej otwarcia. Pan doktor naczelny w zawzięciu dosyć wyjaśnieniu tomaczy wszem wobec, że lekarz domowy, „zmuszony do dozoru nad kilku setkami chorych, nie może wydzielać dniami i nocami w *vestibulu* szpitalnym na przybywających chorych, a także lepszej pomocy, jak lekarz Pogotowia, udzielić im nie mógł.”

Alé nie to chołdzi, szanowny doktorze, lecz o zbyteczną formalistykę i niepotrzebne zgola kontrolowanie lekarzy Pogotowia, którzy również zapewne studiowali medycynę na wydziale lekarskim, i sami zadecydować by potrafili, czy przed chorym można zamknąć podwoje szpitala, czy też trzeba go tam przyjąć niezwłocznie.

P. Rabski ewe najnowsze „Listy z Krakowskiego Przedmieścia”, pisywane na przemian z p. Gawalewiczem do cierpliwych czytelników *Kuryera Warszawskiego*, poświęcił wspomnieniu o Adolfe Dygasinskim. Jest tam pewien ustęp tak piękny i ciekawy, że go przytoczymy bez zmiany. „Dygasinski — pisze autor 305, a w latach przedstępnych 366 fejtletonów *Kuryera* — nigdy nie starał się o reklamę, nigdy nie zabiegał o krytykę przyjaźnielską, o ten głosny „tantam!” reportery, wiencejżcykłyte niczyle zasłużonych, ile zręcznych ludzi. I to się tak często, jak autor tego fejtletonu, styka z kuchnią reklamy, kto słyży i widzi, jak to różni luminarze literatury i sztuki myszują po redakcyach, aby wytagować dla siebie choć trzy wiersze panegryku, aby świat się dowiedział niczylko o dziełach już napisanych, lecz napisać się mających, aby nazwisko ich przynajmniej raz na tydzień figurowało na szpaltach czasopism, choćby w wzmiankach „o wyjeździe do wód”, choćby w notatkach o balach i majówkach, ten z uczuciem głębokiej sympatii i szacunku spoglądał na tego „Dygasę”, który do dzieł swych nie przy-





kopnia. Z póródi 150 górników, znajdujących się pod ziemią, dwóch zostało zaduszonych gazami, reszta, dzięki energicznej pomocy, uniknęła niebezpieczeństwa.

— Rochaczew, miasto powiatowe w gub. Mohylewskiej, nawiedzone zostało pożarem, który zniszczył około 500 budynków.

— W pobliżu wsi Robi (okr. Baku) wulkan błotny Guzy-Gran, był czynny przez kilka minut. Ofiarą wybuchu padło 4 pastuchów i strda owiec.

— W gmachu towarzystwa „General Electric Company” na ulicy Wiktoji w Londynie powstał pożar na drugim piętrze, odcinając drogę prądowcom, zajętym na piętrach wyższych. Sielmem pracownice wykożyciło oknem, jedna poniosła śmierć na miejscu, inne ciężko raniłone; ośiem spaliło się wewnątrz gmachu.

— W szpitalu w Chicagu powstał pożar. Chory wykakawał oknem; dzieciewięc nęczyczan i trzy kobiety zabił na miejscu, 30 osób raniłonych.

— Zmarli. Ks. Aleksander Kazimierz Berceńwicz, śędziwy biskup diecezji kujawsko-kaliskiej. Był przedtem rektorem Akademii duchownej w Petersburgu, a następnie zarządcą przez lat 8 diecezji żmudzkiej i na wszystkich zajmowanych stanowiskach umiał sobie zjednać imię prawego człowieka, gorliwego i energicznego kapłana.

— Bronisław Hrzosowski, kszęgarz i wydawca dziełek popularnych dla ludu, w Warszawie.

— Aleksey Straszynski, artysta-malarz w Krakowie.

— Jan Hilefons Starzyk, dziennikarz w Warszawie.

### Odpowiedzi Redakcyi.

*Pana Jahrl-moaci.* Nie możemy jedną sprawą zajmować całych stron miesięca i całych ujętey czasu. Nie wszystko, co jest ważnem dla jednostki, jest ważnem dla paru tysięcy czytelników. Nado replika Pańska nie wnosí do sporu nic nowego. Twierdzenie zaś, że sypozym nie jest się rozkładowé i że „jasne określenie jego złożeń wyklucza wszelką zachciankę skłócenia ogółowi krajowemu,” łatwo odprzec argumentem, że gdyby nawet słowik w czyimś żółdaku usił sobie gniazdo, chciał w nim wychowywać swe dzieci i śpiewać śliczne swe trele, raskłósiłby zdrowiu właściciela tego żółdaka.

— *Panna J. B. Narodowic* bywa pojmwana antropologicznie i społecznie. W pierwszym znaczeniu określa ją pochodzenie, w drugim — prakroczenie.

— *Panna M. Sedowicem.* Nie rozumiemy, o co chodzi Sz. Pana.

**SPROSTOWANIE.** W pierwszym wierszu artykułu wstępnego w numerze poprzednim, zamiast w Ameryce, czytad należało w Afryce. W artykule „Pozyia i rymy,” zamiast autologii, powinno być *tu tologii* (szp. 1, wiersz 9 od dołu); zam. sła era — z *ty era* (szp. 7, wiersz 9 od góry).

H. Bettena

## Hodowla kwiatów w pokoju

z ilustracyami. Autor, znakomity ogrodnik, sam przeprowadził pokojową hodowlę roślin. Praca więc jego jest warta na doświadczeniach ścisłych. Jest prztem jasna, gruntowna i bogata we wszelkie rady praktyczne zarówno dla miłośników w miescie, jak na wsi.

Cena rb. 1 kop. 50, z przesyłką rekomendowaną rb. 1 kop. 70.

Skład główny w Administracji „Prawdy.”



## OGŁOSZENIA

### PISMA

#### Aleksandra Świętochowskiego:

**Tom I:** Damian Capenko, Chawa Rubin, Karl Krug, Klemens Boruta, Oddech, Na pogrzebie i Woly. Rb. 1 k. 50 (na wyczerp.)

**Tom II:** Tragikomedia prawdy: On i ona, Z pamiętnika, Sam w sobie, Moja głowa, Klub szlachotów, Ona.—Testament Alego, Starzec i dziecko, Cholera w Neapolu. Rb. 1 k. 20 (na wyczerp.)

**Tom III:** Bajki: Krajobrazy, Dwugłos miłości, Lew kamienny, Wesle Satyra, Hymn niemych, Strachy Pentelikonu, Dafne, Dwa widma, Dwaj filozofowie, Nad grobem, Asbe. Rb. 1 kop. 20.

**Tom IV:** Piękna, Aspazya. Rb. 1 kop. 50.

**Tom V:** Trylogia Nieśmiertelne dusze: Ojciec Makary, Aureli Wiszar, Regina. Rb. 1 kop. 50.

**Tom VI:** Antea, Na targu, Helwia, Pausaniasz, Poddanka, Błazen, Za maską, Dachówka. Rb. 1 kop. 20 (wyczerpany).

**Tom VII:** Duchy, trzy części. Rb. 1 kop. 50.

Do nabycia w Administracji „Prawdy.”

Wyszło w czterech oddzielnych częściach dołączane w dodatku kwartalnym do „PRAWDY” dzieło p. t.:

## Wiek XIX

**Zagadnienia moralne:** A. Darlu: *Klasyfikacya współczesnych idei moralnych.* — P. L.—c: *Rodowód idei sprawiedliwości i dobra.* — G. Belot: *Zbytek.* — H. Höfding: *Rodzina.*

Cena kop. 60, z przesyłką rekomend. 75 kop.

**Wiek cudów** ALFREDA WALLACEA (dom. z angielskiego). Cena 90 k., z przesyłką rekom. 1 rb. 10 k.

**Ekonomia i Socyologia** w opracowaniu Dr. S. GRABSKIEGO i Dr. K. KRAUZA. Cena 60 kop., z przes. rekom. 75 k.

**Historya polityczna, rys dziejowy stulecia,** w opracowaniu H. GALLEGO. Cena 50 kop., z przesyłką rekom. 65 k.

Skład główny w Administracji „Prawdy,” Sądowa 14.

## Wydawnictwa „Prawdy”

**Ekonomia polityczna** według najznakomitszych badawców niemieckich ułożona — rb. 3.

A. Espinas. **Spoleczeństwa zwierzęce** wraz z dodatkiem ogólnych dalszych socyologii — rb. 3.

Dr. Med. L. Wolberg. **Psychologia dziecka** — rb. 2.

L. H. Morgan. **Spoleczeństwo pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rb. 3.

Huxley — Rosenthal. **Zasady filozofii** — rb. 2.

J. Baril i A. Krzyżanowski. **Węzownicy myśli** — rb. 1.

H. Posnett. **Literatura porównawcza** — rb. 2.

N. Hirschband. **Byron w arywaku** — kop. 50.

K. Lewald. **Historya XIX w.** od r. 1800—1888 — rb. 3, k. 30.

Prof. R. Falkenberg. **Historya filozofii nowotycznej**, w praktycznym W. M. Kozłowskiego — rb. 2 kop. 40.

**Encyklopedia dla dzieci** (ilustrowana). Cena ułożona — rb. 1 kop. 50.

Dr. J. Dailismagne. **Człowiek wyrodniały** — rb. 2.

*Uwaga.* Wszystkie powyższe dzieła abonenci „Prawdy” nabywać mogą za połowę ceny.

Signet: **Historya Rewolucy. Francuskiej**, 2 t. rb. 2.

Na kosztę przesyłki do każdego rubla zwykłej ceny należy dołączyć kop. 15.

A. MAKSYMOW:

## Syberya i ciężkie roboty

**W tni i oskarżeni** ..... 1 rb. 20 kop.  
**Przestępy polityczne i państwowi** ..... 1 rb. 20 kop.

Z przesyłką rekomendowaną 1 rb. 40 kop.

Skład w administracji „Prawdy.”

Do nabycia w handlu księgarskim

L. KRZYWICKIEGO:

## SYSTEMATYCZNY KURS ANTROPOLOGII

**Rasy psychiczne:** I. Psychologia etyczna, jej przesłód i stan dalszejszy II. Człowiek i społeczeństwo. III. Właściwości duchowe ludu. IV. Mechanizm przekształcania się rasy psychicznej. V. Specyalne rasy psychiczne. VI. Rasy psychiczne w stosunku do typów fizyczno-antropologicznych. VII. Historya rasy. VIII. Ogólne prawa rozwoju psychiki społecznej. Warszawa 1902. Str. 369, tło z mapkami. Cena 1 kop. 70.